

ZESZYT TRZYNASTY. ROCZNIK V. — 1872

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(DOKOŃCZENIE)

Któż opisze tej matki szczęście, opłakiwane odzyskującej dziecię, po tylu latach smutku, który miał chyba z życiem się zakończyć? Jak tylko urzędowy akt adopcyi został dopełniony, do którego i pan podskarbic się pisał, zawarowawszy sobie dożywotnią pensyą i swobodę rozporządzenia resztkami swojego mienia na rzecz własnej rodziny... matka zajęła się wyprawą syna, który z imieniem wojewody i matki dziedziczył teraz znaczne dobra, i musiał odpowiednio do nowego stanu swego wystąpić... Dla Leliwy był to jakby sen czarowny; przecierał oczy, aby się przekonać, że to wszystko, co się z nim w niewielu stało godzinach, nie było marzeniem i ułudą. Naprzód pobiegł po Brzeskiego, aby go ex-wojewodzinie przedstawić jako swojego opiekuna i człowieka, któremu winien był ocalenie... Nie wiedział zaprawdę, bo mu Brzeski nigdy ze wszystkiego się nie spowiadał, jak dalece wiele był mu dłużnym, i jak choć poźna skrucha tego człowieka wpłynęła na dalsze jego losy. Brzeskiego znała dobrze ex-wojewodzina, ale z najgorszej strony; było więc dla niej niepojętem, iż się tak mógł odmienić.

Padł on z płaczem do nóg jej, a gdy doń wyciągnęła rękę, rzekł tylko głosem stłumionym: — Pani, nie jestem godzien...

— Niech ci Bóg za mnie zapłaci — zawołała matka — dla nas będziesz odtąd przyjacielem, wierzycielem naszym, bośmy ci nieskończenie dłużni...

Jankowi wszystkich tych radości nie dosyć było. Wyspowiadał się przed matką, iż miałby na sumieniu, gdyby teraz swobodny, nie poszedł przybranej swej macierzy, starej poczciwej Hruzdzinej odwiedzić.

— Ona mi była drugą matką, i starań jej a dobroci nigdy nie zapomnę. Wyrzucałbym sobie niewdzięczność... pozwólcie mi umyślnie pojechać na Prądnik i wziąć od niej błogosławieństwo...

Chociaż ex-wojewodzina jednej chwili nie chciała teraz stracić i zazdrośną była o to dziecko, tak że mu się prawie oddalić na chwilę nie pozwalała, musiała się zgodzić na usilną prośbę, od siebie dodając dla staruszki podarki i pamiątki... Gdy nadeszła chwila wyjazdu, zaczęła się niepokoić, nie pozwoliła Jankowi jechać samemu, prosiła Brzeskiego, aby mu towarzyszył. Dobrano konie i służbę, a wybór w drogę chłopca, co do pieszczot nie nawykł wcale, prawie go zawstydzał... Na samem wyjeździe dopiero, wśród tego zamętu, przypomniał sobie, iż p. pisarzowę i Ewunię trochę zaniedbał... Pobiegł więc tam jeszcze, w porę zaprawdę, bo dziewczę znowu było

we łzach... Teraz się ono więcej trwożyło o swego Janka, niż gdy był ubogim, i szeptała rzucając się na szyję siostrom: — Jakże on teraz może chcieć mnie kochać i myśleć się kiedy ze mną ożenić! O niego najpiękniejsze starać się będą. On już Ewuni nie zechce...

Pisarzowa, choć niby nic nie wiedziała, choć o niczem wiedzieć jej nie wypadało, nie była też bez obawy o przyszłość. Nie mogła wszakże żadnego uczynić kroku, trzeba było sprawę opatrzności polecić. Gdy w progu teraz pokazał się Janek w nowych swych sukniach, z blaskiem na twarzy, jaki szczęście daje, rozjaśniło się oblicze pisarzowej, i w pierwszym wybuchu radości uścisnęła go jak syna... Janek schylił się do kolan... Ludwika, która była w salonie, strzałą pobiegła p. Ewunię. — Chodźże, chodź — zawołała — narzeczony twój przyszedł.

— Cóż ty pleciesz! — rumieniąc się ze wstydu i wesoło, odparła Ewunia — pewno Janek? Ale ja tak zaraz wybiedz sama do niego nie mogę; chodźmy pomalutku (tylko prędko) wszystkie razem.

Z tego pomalutku, tylko prędko, naśmiały się siostry i weszły śmiejąc się jeszcze do sali. Janek przerwał rozmowę, spiesząc na powitanie Ewy... Przyniósł był z sobą wprawdzie aż trzy bukiety od matki dla panien pisarzowien, jednak bukiet Ewuni był jakiś odmienny. Opasywały go gęste niezapominajki, za niemi szły kwiatki myśli... a w środku śmiały się róże. Język kwiatów nie dzisiejszym jest wynalazkiem. Ewa patrząc mu w oczy, figlarnie odebrała swój bukiet, który rozpoczął rozmowę. Siostry jakoś znalazły coś niesłychanie pilnego i ustąpiły, matka także była niezmiernie zajętą, mogli kilka słów do do siebie przemówić bez przeszkody.

— A widzisz pan — szepnęła Ewa — że miałam słuszność bronić panu księdzem zostać; pięknieby to teraz było...

— Mógłżem na taki cud rachować?

— Człowiek tylko na cuda i na Boga liczyć może z pewnością — odezwała się Ewa rezolutnie — na inne swoje plany, nigdy...

— A na serca? — spytał Janek.

— Jak jakie — mówiła Ewa — na serce siostry zawsze. — Janek w rękę pocałował, i nikt tego nie postrzegł, jak się ręce ścisnęły.

— Ja jadę do Krakowa, ale wracam za dni kilka...

— Do Krakowa? a toż po co?

— Podzielić się mojem szczęściem z tą, która się ze mną, gdym był biednym sierotą, swojem dzieliła ubóstwem, z poczciwą dobrą wieśniaczką, która mnie wychowała.

— A! jedź pan! jedź!... — przerwała z uniesieniem Ewa — wdzięczność taka przynosi błogosławieństwo Boże, a siostraby pragnęła, aby wszystkie niebios łaski i błogosławieństwa na głowę brata spłynęły.

Po krótkiej jeszcze rozmowie Janek pożegnał panią pisarzowę, oznajmując jej także, że wyjeżdża. Matka ściskając wyprowadziła go na schody ganku, poleciła Brzeskiemu, ludziom, i powóz raźną zaprzężony czwórką potoczył się ulicami Warszawy. Tegoż dnia pan podskarbic w lektyce pożyczonej z saskiego pałacu kazał się przenieść do swojego mieszkania; miał najmocniejszą nadzieję, iż tam wypocząwszy, za parę dni u hrabiny Estelli banczek pociągnie...

Janek z uczuciem dziwnem zbliżał się teraz do Krakowa... łzy mu się kręciły w oczach, miasto tak mu się wydawało dziwnem, tak innem choć tem samem!... Wszystko jakoś zmalało, zbiedniało, opustoszało... a mimo to tak było serdeczne i kochane. Nie mogąc wytrzymać w bryce, wysiadł i pobiegł, witając się z kamieniami i ścianami... W rynku jakby wczoraj otwarty był handel p. Materskiego pod zieloną wiechą. Stary gdera i złośnik wyprawiał zwykłe swe harce z chłopcami i właśnie miał kułak, wedle swego obyczaju, podniesiony do góry, gdy w progu zjawił się Janek...

Któżby w tym paniczu poznał dawnego chłopca.. P. Materski podniósł nań oczy i wpatrzył się nie mogąc zrozumieć, co to za dziwne widmo stało przed niemi.

— Jakto, pan mnie nie poznajesz?

— A — a — nie poznaję, bo nieznam... — zawołał Materski.

— Mnie, mnie waćpan nie znasz? — rozśmiał się Janek... poskakując do kątka, w którym był zwykł siadywać, i zajmując dawne miejsce. — No? a teraz?

— Juściż nie Janek...

— A Janek! panie Materski, tylko odnowiony! — krzyknął rzucając mu się na szyję chłopak...

— Tak, tak, — dodał Brzeski z progu, bo szedł za nim i na krok go odstąpić nie chciał — P. Jan Leliwa.. syn pani ex-wojewodzinej.

— Jaki syn?... co za bałamuctwa...

— Bajki żywe, we śnie — dodał Brzeski. — Daj lampkę miodu, to ci powiem wszystko...

Nadbiegła i pani Materska, wszyscy goście w handlu będący skupili się około Jana, bo już tam coś słyszeli o dziwnej historyi... wrzawa się stała wielka, a Janek uścisnąwszy Materskiego, skorzystał z zabałamucenia Brzeskiego i drapnął...

Była może godzina druga z południa... o furkę nie trudno, rzucił się na pierwszą lepszą, do Prądnika... A! i ta droga! ta droga... usiana była pamiątkami. Wysiadł pomodlić się pod figurą, niedaleko której spotkał wojewodzinę... Chłop, co go wiózł, nie mógł naprawdę zrozumieć panicza, i dla czego mu tak było pilno, że po tynfie ciągle nagląc o pospiech narzucał. Wreszcie pokazała się wieś, chata, stara grusza, podwórko i studnia, której żuraw zgięty służył dotąd jeszcze. Janek wyskoczył z wozu, zapłacił furkę i odprawił.

Przed chatą było pusto zupełnie, pług wprawdzie leżał niedawno używany i brona, ale koło stajni i domu żywej duszy. W sieni dwie kury kwokały szukając posianego ziarna. Otworzył drzwi, w środku małe okienko słabo oświecało izdebkę... Dopiero po chwili, gdy się oczy oswoiły, dostrzegł na ławie siedzącą staruszkę, która trzymała kądziel i drzemiąc niby przędła... Wrzeciono leżało na ziemi, palce jej jednak nie istniejącą nić ciągnęły pracowicie... Była to Hruzdzina, ale zestarzała wielce... Oczy źle jej służyły, ręce się trzęsły... — A kto tam? — spytała ochrypłym głosem.

— Niech Chrystus będzie pochwalony.

— Na wieki. A któż tam?

— Swój, matko, swój, tylko zdaleka.

— Nie dowidzę; mówcież kto taki?

— To ja matko, to ja, po głosie byście może powinni poznać Janka?

— Janka? jakiego?

— Głupiego Janka, matuniu...

Staruszka się zatrzęsła, ruszyła, kądziel padła na ziemię... — O Chrystusie Zbawicielu! a czyż to być może!...

Janek się już rzucił całując pergaminowe ręce staruszki. — Tak, ja to jestem.

— O! mój Boże! zkądże ty? a jam cię opłakała? a to ty żyjesz jeszcze?

— Żyję, zdrów jestem i szczęśliwy, dużo mówić o tem... Umyślniem do was przyjechał, matko...

— Zkąd? — Z Warszawy...

— A! czyż być może! toś ty o starej pamiętał! — Zaczęła płakać, bo starość i smutek i wesele opłakać musi... Chwyciła go za głowę i poczęła całować... Oczy nie wiele jej służyły, więc rękami chciała zobaczyć, jak też ten Janek wyglądał: poczuła suknie cienkie i włosy jedwabne i zapach paniczowski od niego...

— Dziecko? cóż się z tobą dzieje? mów...

— Nie, matuniu; naprzód wy mi powiedzcie, co u was. Gdzież wasz...

Hruzdzina spuściła głowę i łzę otarła. — Pochowali go łońskiego roku...

— A któż gospodarzy?

— Siostry córka i jej mąż... ale oni na polu...

— I jakże wam z nimi?

Pokiwała głową. — Po ludzku... ni źle ni dobrze, stary wszędzie ciężarem...

— A gdybym ci domeczek zbudował i sługę przyjął i...

— Daj ty mi pokój... ja mojej chaty nie opuszczę, choćby dla pałacu, tu już głowę położę...

Gdy Janek rozpowiadać począł o sobie, a rozwinął dary od matki i gościńce od siebie, Hruzdzina uszom i rękom wierzyć nie chciała. Właśnie na to nadeszli z pola młodsi i parobek, i nacisnęło się to wszystko słuchać a dziwować i przyjmować wojewodzica. Ba w pół godziny wioska niemal cała stała w progu, sieniach i na podwórku, tak że Janek do jutra żegnając Hruzdzinę, musiał uciekać od ciżby, najął znowu wózek i nazad do Krakowa ruszył.

Wrócił Janek na Prądnik powtórnie i zastał tam nazajutrz całą niemal gromadę oczekującą na niego, pragnącą zobaczyć tego, co z chłopskiej sukmanki wyrósł na senatorskie dziécię. Odżyła nawet nieco stara Hruzdzina, bawiąc się prawie po dziecinnemu gościńcami przywiezionemi jej przez Janka. Wszystko to porozkładane leżało w izbie na podziw przybywającym, a stara płakała i błogosławiła wdzięcznego wychowańca. Namówić ją jednak na nowy domek, na wygodniejsze życie i mieszkanie, nie było podobna. Rodzina też najuroczyściej przyrzekła, że jej na niczem w świecie zbywać nie będzie, że wszyscy się na posługi staruszki poświęcą. Janek ukląkł żegnając ją wreszcie, i pobłogosławiony drżącemi rękami, wzruszony i smutny odjechał, sprawiwszy jeszcze uroczyste nabożeństwo za duszę Hruzdy, choć go nieboszczyk za życia nie raz drapieżnie wytuzał nie wiedzieć za co. Dla czego dziś i to podwórko wiejskie i ten ciężki pług i stajenka uboga i wszystkie wspomnienia nędzy tyle dlań miały wdzięku? We dworze zapoźno dowiedziano się o przybyciu tego zbiega, i panicz, towarzysz zabaw Janka, submitował mu się pokornie, przypominając dawnej znajomości a polecając protekcyi. Chcieli nawet dowodzić, że gdyby nie owa czupryna, nie owa groza chłosty i nie wszystkie wypadki, które do ucieczki zmusiły, kto wie, czyby Janek został kiedy wojewodzicem? Zatem należała pewna wdzięczność posiadaczowi czupryny... Janek uścisnął się serdecznie z dawnym znajomym i odjechał do Krakowa. Tu go czekali inni znajomi, przyjaciele, towarzysze, bo szczęściu nigdy na nich nie zbywa. Za biedą nikt nie goni, bojąc się, ażeby nie była zaraźliwą.

Tu czekali nań państwo Materscy, którzy teraz jeszcze go mocniej kochali; przyszła stara Maciejowa ze łzami przypominać mu, jak kuchnię poczciwie i pokornie zamiatał; stawił się przezacny Bramiński, który niestety, mało miał już nadziei, ażeby został kiedy profesorem uniwersytetu, i przyjął u Jana obowiązki bibliotekarza przy bibliotece, której jeszcze nie było. Nawet pani Salomonowa chciała koniecznie zaprosić na obiadek panicza, który o mały włos nie został dozorcą jej dzieci, ledwie się pan Jan wymówić od tego potrafił, bo mu już czasu nie stawało... Z uczuciem wielkiem odwiedził tylko grób kanonika na cmentarzu, i kamienicę Brzeskich, i owę izdebkę na strychu, w której się przemęczył nad książkami słuchając, czy miotła Maciejowej nie da mu znać, by jej posłużył około drewek i wody...

List matki, która umyślnym posłańcem dopominała się gwałtownie jak najprędszego powrotu, przyspieszył wyjazd z Krakowa. Wojewodzina niepokoiła się już o syna, o pobyt jego, o zdrowie, o znużenie, tęskniła za nim,

nęciła go, aby do niej pospieszał. Trzeba więc było rzucić to gniazdo wspomnień i jechać do Warszawy.

Czule go powitano tutaj, jakby nie parę tygodni, ale lata całe niewidzianego. Przez czas niebytności Jana, matka nim żyjąc i myśląc tylko o nim, z pomocą poczciwego Bronisza, który jej w tem dzielnie dopomagał, dopełniała wyprawę zrobioną naprędce, chciała bowiem, ażeby syn jej mógł wystąpić, jak na potomka rodziny możnej przystało. Zdawało się sercu jej, że długo pozbawiony wszystkiego, co życie w młodości uprzyjemnić może, Janek będzie szczęśliwy z tego zbytku i świetności, z tych pieszczonych wygódek, które go otoczą; spostrzegła nierychło z podziwieniem, że chłopak z wdzięcznością przyjmując te dowody jej troskliwości, prawie był niemi zakłopotany. Liczna służba, konie, powozy stanowiły dlań raczej ciężar i niewolę, niż przyjemność; nie widać było radości z tego, ale zakłopotanie, rumieniec wytryskał na twarz, a uprzedzające zabiegi Bronisza płacił uściskami i prośbą, aby się tak bardzo nie trudził. — Wierz mi, drogi panie — rzekł mu jednego dnia — że ja doprawdy jeszcze tem wszystkiem cieszyć się nie umiem; wolałbym książki stare i spokojny kącik, w którymbym jeszcze się uczył, a uczył. — Na to wojewodzina i Bronisz uśmiechali się jak na dowód dziecinnych gustów wojewodzica, nie mogąc pojąć, aby tak poodzierane i szpetnie wyglądające szpargały, które zbierał, mogły mieć jakąś wartość i sprawić komuś przyjemność. — Niech pan tych rupieci tu w Warszawie nie kupuje — rzekł w końcu Bronisz — bo u nas tego po strychach do licha się wala, i szczury to tylko jedzą, a jak zbierzemy, co jest w rezydencyi i po dworach i u oficyalistów, będzie tego na kilka pokojów od góry do dołu...

Z rozmów z synem przekonawszy się o jego pragnieniu nauki i widzenia świata, pani wojewodzina acz z bolem serca przystawała na myśl podróży do Włoch, Francyi i Anglii, odkładała ją tylko coraz do dalszego jakiegoś terminu, bo rozstać się z synem było trudno. Jedna tylko okoliczność jeszcze przemawiała za tą podróżą. Oko matki dostrzegło łatwo, iż między Janem a córkami pani pisarzowej częstszy jakiś zawiązywał się stosunek... Ale Jaś wydawał się tak młody, dwie pisarzówny prawie dlań były już starsze, niż sobie życzyła, Ewunia zaś choć tak dobra, miła i piękna, była nieco ułomną i chorowitą, i matka myślała w duchu, że syn jej łatwo sobie świetniejszą jeszcze partyą wyszuka. Gdyby Jan żądał koniecznie, nie byłaby mu stawiła przeszkód, ale pragnęła może, ażeby się to rozchwiało. Podróż po Europie była najlepszym sposobem, najmniej widocznem a najskuteczniejszem na te amory lekarstwem. Więc choć sercem wstrzymać pragnęła Janka, rozumem wyprawić go co prędzej starała się, szukając tylko kogoś, komuby jego niedoświadczenie powierzyć mogła. Zdziwił się Jan nieco, gdy zrazu zwlekana podróż, nagle potem zaczęła być przedmiotem codziennych rozmów, i zjawił się bardzo przyzwoity człowiek, mający mu towarzyszyć.

Janek, który tymczasem prawie codziennie bywał u pani pisarzowej, zbliżając się do Ewy, mniej znowu do wyjazdu miał ochoty. Ewa się jej obawiała i szeptała po cichu: Może my kiedyś razem pojedziemy! Ważył się więc ten wyjazd, tłumaczony trochę filutarnie chęcią pozostania przy matce. Ale pora użycia wód karlsbadzkich mijała, ex-wojewodzina nie wybierała się już w tym roku, czując lepiej, bo ją odzyskanie syna uzdrowiło. Natomiast mowa była coraz częstsza o powrocie na wieś, do której ciszy i życia tylu latami przywykła. Z panią pisarzową wcale o dzieciach mowy nie było. Gdy wreście coś nadal postanowić było potrzeba i albo razem wracać w Krakowskie, lub Jana za granicę wyprawiwszy, samej do domu odjechać, jednego ranka wszedł syn do pokoju ex-wojewodzinej i ucałowawszy jej kolana dał do zrozumienia, trochę się rumieniąc i mieszając, że ma z nią o czemś ważniejszem do pomówienia.

Domyśleć się było łatwo.

— Moje drogie dziecko — odezwała się w głowę go całując wojewodzina — po cóż te wstępy i ceremonie ze mną? Wiesz, że dla ciebie serce moje otwarte, że każdą myśl twą i pragnienie powierzyć mu możesz... Bądź szczery, mów, co ci na myśl przyjdzie.

— A! matko kochana — odezwał się Jan, biorąc drżącą jej rękę — boję się okazać dziecinnym i zuchwałym razem... Wypadek zapoznał mnie z domem pisarzowej, gdym był jeszcze ubogim i sierotą. Oni mnie wówczas nie odpychali. Przywiązałem się do Ewy, ona do mnie. Wiem, że jestem za młody, że nie czas mi myśleć o ożenieniu, lecz niech mi wolno będzie zapewnić ją, że jej wiernym zostanę, niech moje słowo powtórzą usta matki, aby się stało uroczystszem, a ja cierpliwie czekać będę.

Wojewodzina milczała chwilę; błagające wejrzenie dziecka ją rozbroiło.

— Cóż ja mogę mieć przeciwko temu, gdy serce twe ją wybrało? — rzekła — Ewa miła i dobra, rodzina zacna; straszy mnie jej zdrowie, chciałabym dla ciebie szczęścia... Jeśli go gdzie indziej nie widzisz...

— Nie pojmuję, bym go mógł szukać gdzieindziej — rzekł Jan — Ona dla mnie jedyną siostrą, narzeczoną, przyjacielem, wszystkiem; czuję, że bez niej żyćbym nie potrafił.

Wojewodzina położyła mu rękę na ramieniu.

— Mój Jasiu — rzekła — to dosyć, ja się nie sprzeciwię; powinieneś towarzyszkę życia sam sobie wybrać.

Niech Bóg błogosławi, ale podróż wprzódy i rok cierpliwości.

Jan schylił się do kolan... Wieczorem tegoż dnia pojechali do pisarzowej, a matka wiozła pierścionek, który na palec przyszłej córce z błogosławieństwem włożyła... I w kilka dni potem Janek z Mentorem za granicę wyjechał...

Moglibyśmy na tem zakończyć opowiadanie nasze, gdyby los pana podskarbica, o którego może się zakłopotać czytelnik, nie domagał się epilogu. Zgon jego był też tak oryginalnym i nagłym, że mu się choć wzmianka należy.

Chociaż wszystko się tak jakoś złożyło, iż adoptowanie Janka nie dozwalało się domyślać prawdziwych aktu tego powodów, rozpowiadano bowiem ze strony podskarbica, iż on się oddawna losem młodzieńca zajmował, że go sam przysposabiał na swego spadkobiercę, a wojewodzina tylko się na to poźniej, poznawszy go, zgodziła... przyjaciółka podskarbica, hrabina Estella, zbyt lubiła opowiadać na ucho skandaliczne historyjki, ażeby się przed swymi serdecznymi przyjaciółmi i z tą wygadać nie miała, pod największym sekretem. Wiadomo zkądinąd, jak tego rodzaju największe sekreta się dotrzymują, gdy treść ich jest drażliwa i osobliwa; każdy się tym przysmakiem dzieli ze swoimi. Hrabinie Estelli zdawało się, iż opowiadanie przeszłości podskarbicowi już dziś, gdy ona została naprawioną, wcale szkodzić nie mogło. Wyszeptała więc, co z ust samego podskarbica o tem słyszała, swym poufałym; poszło to w świat od nich, wprawdzie nie jako rzecz zupełnie pewna, lecz jako nader prawdopodobna. Słuchając tego opowiadania i powtarzając je ludzie zwykle dodawali:

Czy to tak było, czy nieco inaczej, coś w tem prawdy być musi, bo się takich rzeczy z palca nie wysysa a kiedy gadają, coś już musi być.

Na tem tle tedy snuto i haftowano mnogie waryanty czynów podskarbica, życia jego i pożycia.

On tymczasem odzyskawszy władzę w rękach, spokojnie znowu ciągnął banczek u hrabiny Estelli z zadowolnieniem ogólnem. Trafiło się jednego razu, że gra była znaczna, a stawiący przeciwko bankowi, pan kasztelan nowo kreowany, namiętnie się zapalał. Był to dorobkiewicz, któremu szło o to, żeby się pokazał panem, i który tak dokazywał, iż krótko bardzo miał nim pozostać. Nieszczęściło mu się, a nie umiał *faire bonne mine à mauvais jeu*. W chwili, gdy przegrawszy pięć tysięcy czerwonych złotych, ostatni tysiąc miał stracić, karta padła nieszczęśliwa, kasztelan kartami rzucił o stół. — Niech cię kaci porwą, greku jakiś! — zawołał. — Samem winien, bo któż gra z takimi rozbójnikami.

— Mości panie! — zawołał podskarbic.

— Milczałbyś, stary diable — dodał przegrywający — Znają cię ludzie! Kto na niewinnego dziecka czyhał życie, ten się na cudzy grosz zastawić sideł nie waha...

— Mości panie — ryknął podskarbic, któremu oczy z pod powiek o mało nie wyskoczyły — mości panie, waćpan mi za to odpowiesz!

— Milczże ty stary trupie! Znają cię wszyscy, i ciebie i ten szanowny dom, w którym sprawiasz swe rzemiosło... rzezimieszek jesteś i kwita.

Podskarbic chciał się podnieść i zamierzył rzucić kartami w twarz przeciwnika, gdy ten uprzedzając go cisnął mu w oczy całą talią.

Podskarbic obalił się na poręcz krzesła. Zamęt stał się wielki, przyskoczono, by ich rozjąć, wpadła hrabina Estella, nadbiegli dalsi widzowie sceny. Podskarbic się nie ruszył... Tknięty został paraliżem powtórnie i śmiertelnie, i oddał ducha, niewiadomo komu.

Nazajutrz rozpowiadano, że przy grze było gorąco, okno otwarte, i że podskarbica tak fatalnie zawinęło... Przyczynę śmierci utajono dla honoru familii, a ciało nieboszczyka wywieziono pocichu na wieś do rodzinnych grobów, gdzie złożone zostało...

Hrabina Estella po utracie przyjaciela wyjechała wprędce na dewocyą do Lwowa i cała się poświęciła praktykom religijnym, prawdziwie budującym, łącząc do nich nadzwyczajną gorliwość w prześladowaniu tych, którzy jej dorównać nie mogli. Lat kilka jeszcze żyła otoczona czcią i szacunkiem powszechnym, a mowa pogrzebowa, którą wydrukowano po jej zgonie, świadczy po dziś dzień o cnotach, choć poźno ale do wysokiej doskonałości przez nią doprowadzonych.

KONIEC.

BANITA.

DRAMAT HISTORYCZNY W V. AKTACH.

Przez Leop. hr. Starzeńskiego.

AKT V.

(Więzienie w zamku krakowskim; po prawej okno z kratą, drzwi w głębi i po lewej.)

SCENA I.

Kazimierz (sam, przy drzwiach po lewej podsłuchuje)

I znowu umilkł... Głos tylko kapłana
Jak zdrój srebrzysty, co po skałach bieży,
Z modłą się wznosi do zastępów Pana,
Przewinień jego ciężar w szali mierzy.
Pastor i kapłan stali za tym progiem —
Z nich każdy wolę skazanego śledzi,
By w chwili skonu pojednać go z Bogiem:
On — jak katolik — ukląkł do spowiedzi,
Na łono ojców powrócił kościoła,
Dawne pożegnał praktyki pogańskie,
Usłuchał głosu bożego Anioła.
(dzwonek odzywa się za sceną)
Oto przyjmuje krew i ciało Pańskie.
(klęka i modli się pocichu)

SCENA II.

Kazimierz, Ezechiel (wszedł i staje w głębi)

Kazimierz (spostrzegłszy go, wstaje)
To ty przybywasz?... biedny Ezechielu!

Ezechiel.
Ja. (patrzy na niego nie mogąc mówić)

Kazimierz.
W takiej chwili widzieć nam się trzeba!

Ezechiel.
Cóż czynić teraz? powiedz, przyjacielu!

Kazimierz.
Ze skruchą w sercu tam westchnąć... do nieba.

Ezechiel (po chwili)
Wiem. — On powrócił na papieską wiarę.
Tak ojciec jego w dniu skonu strasznego
Przyjął nanowo swe obrządki stare.
Niech to na zdrowie będzie duszy jego! —
A to nieszczęście spadło z mej przyczyny!
Ten list przyklęty... powodem wszystkiego;
Ja go wręczyłem... choć to nie z mej winy...
Dałem się uwieść! Ja zgubiłem jego.
A więc dla siebie też coś obmyśliłem,
Bo mi te troski już życie zatruły;
W Bielanach klasztor na wzgórzu widziałem,
A w tym klasztorze — mnichy Kameduły.
Gdyby nieszczęście spotkało hetmana,
To na dewocyi w tych murach osiędę
Jak Kameduła — za mojego Pana
Odtąd się życie całe modlić będę.

Kazimierz.
Ty! chcesz być mnichem? ledwo w głowie mieszczę!

Ezechiel.
Żadną od tego nie odwiedziesz mową,
Bo poprzysiągłem... a co więcej jeszcze,
Na to rycerskie dałem sobie słowo.

Kazimierz.
Lecz jedna sprawa jest niedokonana:
Ów Winrych...

Ezechiel.
O to interes skończony!
Pana Winrycha spotkałem dziś zrana,
Kiedy szedł właśnie do swej narzeczonej.
W oczekiwaniach zawiodłem cną wdówkę...
Bo wprzód z nim miałem króciutką rozprawę...
Potem... dziadowi rzuciłem złotówkę,
Aby za duszę jego zmówił: „Ave.“

Kazimierz.
Do ostatecznej więc trzeba iść próby,
Próba to straszna, ale i ostatnia;
Lecz ona może go wyrwie od zguby...
Zbrodnia to straszna, bo z nią i krew bratnia...

Ezechiel.
Zamek ten cały żołnierstwem zalany...
Mym ludziom pewne wskazałem ukrycie,

A choć niejedne zdobyło się ściany,
Gdzie o Samuchy nie chodziło życie;
Jednak tu...

KAZIMIERZ (żywo)

Spiesz więc: i dworzan Marcina,
I szlachtę wierną Zborowskich domowi
Przywodź, nim jedna upłynie godzina;
Ta jedna chwila o wszystkiem stanowi,
Bo kat po głowę Samuela sięga,
Przed bramą zamku czeka tłuszcza wrząca,
Pamiętaj! w oknie tem zabłyśnie wstęga...

EZECHIEL.

Skutek niepewny — a sprawa gorąca,
(odchodzi)

SCENA III.

KAZIMIERZ (sam)

Przebacz nam Boże to sromotne dzieło
W obronie świętej głowy przyjaciela;
Broń bratobójczą w dłonie się ujęło —
Boże! ty ratuj! ratuj Samuela! (płacze)

SCENA IV.

SAMUCHA i KAZIMIERZ.

(Samucha wchodzi i staje w milczeniu; Kazimierz chwilę patrzy na niego w niemej boleści, potem pada na kolana i całuje jego ręce z uniesieniem)

SAMUCHA.

Nie płacz, Kazimierzu! — nic mi nie trzeba,
Już mnie to życie wdziękiem nie nęci;
Dziś choć zgnębiony, lecz bliższy nieba,
Wesoło rzucam mój kwiat pamięci.
Dusza wstecz wracać teraz nie żąda
W świat uciech krwawych, walk i rozpusty,
Jaśniej przed skonem oko spogląda,
Kielicha wiary dotknąłem usty.

KAZIMIERZ (zrywa się z zapałem)

Nie, tysiąc piersi ciebie zasłoni,
Bo twoje życie kraju i boże,
Zaraz się tysiąc uzbroi dłoni,
Na ciebie czeka twe Zaporoże.
Panie! my wierną twoją drużyną,
A szable jeszcze u boków mamy,
Wyrwiem cię przed tą straszną godziną,
Głowy hetmana pod miecz nie damy.
Twój hufiec w mieście zbiera się skrycie,
Twoich przyjaciół tam pełno wszędzie,
Każdy ci niesie chętnie swe życie,
I w naszych rękach ten zamek będzie...
W to okno oczy ich patrzeć będą,
Ku twej obronie dłonie się sprzęgą;
Kiedy po ciebie straże przybędą,
W oknie powiejesz błękitną wstęgą.

SAMUCHA.

To nadaremno!... czyńcie jak chcecie,
Jam obojętny, znękan, bez woli
Jak listek zwiędły, którym wiatr miecie,
Nic już nie dręczy i nic nie boli.
Ziemię bez żalu już pożegnałem,
Wczesnej przyszłości nie trwożą cienie,
Słowa pociechy dzisiaj słyszałem.
(prowadząc go do okna)
Patrz!... przyszłość moja... tam... przeznaczenie...

KAZIMIERZ (z przerażeniem patrząc w okno)

Co widzę?... Boże!... ha!... rusztowanie!
I chwila straszna już niedaleka.
Czegoż się wahasz? — zbudź się hetmanie!
Kat z obnażonym mieczem juz czeka.

SAMUCHA (jakby nieprzytomny)

„Człek, coby nigdy nie śmiał oręża
Na ciebie podnieść śród żadnej wady,
A przecież kiedyś dłoń tego męża
Śmierć tobie zada jawnie, bez zdrady."

KAZIMIERZ.

Panie! — tam hufiec...

SAMUCHA (nagle ockniony)

Tak — mam nadzieję...
Lecz słuchaj!... Jeśli jej blaski miną,
To białą chustką w oknie powieję —
Wtedy do gniazda wracaj drużyno!

KAZIMIERZ.

Błękitna wstęga! — pamiętaj!... Bóg w niebie!
On wspierać będzie... on ocali ciebie!
(wybiega)

SCENA V.

SAMUCHA (sam)

Nadziejo! — próżno gościsz śród łona.
Co tam wpisano... człowiek nie zmaże. —
Czy choć na grobie zapłacze ona?...
Czy modły poszle tam... przed ołtarze?

Pocoż nad grobem, tak błogo... rzewnie
Złoty sen dotąd jeszcze mnie nęci?
O! bo w jej sercu nie dla mnie pewnie,
Zakwitną kiedyś kwiaty pamięci.
Nad krwią, co zbroczy to rusztowanie,
Hymny przekleństwa w dzieje ulecą,
Ród mój do pocztu zhańbionych stanie,
Imieniu zorze zachodu świecą.
Ach! — ona chyba jedna na świecie
Wspomni szaleńca, co legł w złej toni,
I pacierz za mnie odmówi przecie,
Nad zimnym głazem łezkę uroni...
Słowa kapłana pociechy zdrojem;
Ich dźwięk ostatnie chwile mi słodzi,
Jakby pielgrzyma, zgiętego znojem,
Co usta w zdroju konając chłodzi.
O! jak dziwnie... niewymownie
W niebo uniósł mnich ten stary!
Czuję... czuję, jak czarownie
Coś do ojców ciągnie wiary.
Przed wieczności stoję progiem,
Mego Boga kornie wołam,
On się każe godzić z wrogiem...
(wzdryga się na tę myśl)
Z nim?... przenigdy!... nie!... nie zdołam.

SCENA VI.

SAMUCHA, GRYZELDA.

(Gryzelda wchodzi. — Samucha spostrzegłszy ją wydaje okrzyk zadziwienia — chwilę patrzą na siebie w milczeniu nie mogąc przemówić)

GRYZELDA (przezwyciężywszy boleść)
Przychodzę — jakby przed boskie ołtarze
Z sercem, co z bolu skamieniało w łonie.

SAMUCHA.
Tutaj?... Gryzeldo!...

GRYZELDA.
Tak — Bóg mi to każe,
By prawdę dźwignąć, która w fałszach tonie,
By dusza twoja, co w kraj inny wzlata,
Klątw nie miotała nad mniemanym wrogiem,
Bez gniewu w niebo uleciała z świata
Jakby zdrój czysta... pojednana z Bogiem.

SAMUCHA.
Ha!... cóż chcesz mówić?...

GRYZELDA.
Tyś zdrady ofiarą,
Podstępu, którym cię zwabili wrogi;
Ku mej obronie ty leciałeś z wiarą,
Że mię więziły tam — klasztorne progi...

SAMUCHA (z rozpaczą)
A więc przez podstęp i zdradę nikczemną
Do bratobójstwa użyłem oręża!...

GRYZELDA.
Przebacz niewinnym! Miej litość nademną!
Ja tu przybyłam z wiedzą mego męża.

SCENA VII.

GRYZELDA, SAMUCHA, KANCLERZ (wchodzi)

SAMUCHA (spostrzegłszy go, odskakuje)
Ty!!!... Czy przychodzisz urągać niedoli?

KANCLERZ.
Nie Samuelu! niech Bóg natchnie ciebie!
Klęska ta straszna spadła z jego woli,
Czem dotknął tutaj... to zapłaci w niebie.
On mi jest świadkiem! — Nie szydzić przychodzę,
Lecz jak chrześcianin chcę podać dłoń bratnią,
W tej wielkiej chwili, na wieczności drodze,
Przed tą podróżą uścisnąć ostatnią.

SAMUCHA.
Precz!... Na twem czole świeci wieczna plama!
Krew twego brata... i grzech Kaimowy.

KANCLERZ (z bolem)
Nie, to ofiara raczej Abrahama,
Co krew swą własną przelewać gotowy.
W ręce starosty banita popada,
Urzędu władza zakłada mi pęta,
Choć nie z mej winy — ciebie jęła zdrada,
A praw powaga nad wszystko mi święta.
Grom to boleśny dziś ugodził we mnie,
I krzyż się na mnie swym ciężarem zwala,
Potwarz, obelgi miotają nikczemnie,
Że kanclerz zgładzić chce w tobie rywala.

GRYZELDA (ze łzami)
Boże!

SAMUCHA.
Czy krzyż twój memu zrównać zdoła,
Na dziejów karcie gdy stanie w przyszłości
Mój posąg z wstydu rumieńcem u czoła,
Na hańbę rodu mego w potomności?

KANCLERZ.

O! nie na hańbę, ale dla przestrogi
Tym, którzy mącą zgody czyste zdroje
I ziarno waśni rzucą w ojców progi,
By w nich pogańskie wznieść bałwany swoje;
Tym, co chorągiew miłości ojczyzny
U nawy zatkną z tryumfu okrzykiem,

O! ty przestrogą bądź w potomne lata
Tym, co świętości śmią plamić w zapędzie,
Wichrząc w ojczyźnie ze zgorszeniem świata,
Bo po nich owoc — szatan zbierać będzie.

SAMUCHA.

Ha! dla przestrogi... Spraw to niebios Panie!
Niech więc mój posąg wiecznie stoi blady,



Polowanie z chartami. (Rysunek J. Kossaka).

By nawę wtrącić na zgubne mielizny,
Gdy namiętności są dla nich sternikiem.
Tak — dla przestrogi wszystkich wichrzycieli,
Którzy w przyszłości, w tej dziedzinie Piasta,
Berła powagę podeptaćby śmieli,
Bo na jej gruzach możnowładztwo wzrasta.

Przed okiem groźnie tym wszystkim niech stanie,
Którzyby kiedyś chcieli iść w me ślady.

KANCLERZ (z rozrzewnieniem)

Teraz bez gniewu się rozstań z tym progiem!
Dłoń podaj na tej rozjemczej mogile,

To ci zasługą będzie przed tym Bogiem,
Przed którym stanąć już musisz za chwilę.

SAMUCHA.

Nigdy! Od twego mam ginąć ramienia!
Chcesz bym konając błogosławił wroga?

KANCLERZ.

Jestem niewinny... jak pragnę zbawienia!...
Przebacz mi!... przebacz!... w imię tego Boga!

SAMUCHA.

Ha! zwyciężyłeś... Ten Bóg mi tak każe.
Ty!... któryś widmem stał wiecznie przedemną,
Ziemi rodzinnej zasłaniasz ołtarze,
Po które dłonią sięgałem nikczemną.
Więc niech przestrogą będę każdą dobą
Na ziemi polskiej... a po latach wielu
Ród mój znów czysty niech stanie przed tobą...
Ja ci przebaczam... Janie!...

KANCLERZ (pada w jego objęcia)
Samuelu!

SCENA VIII.

CIŻ, KAZIMIERZ, EZECHIEL (wpadają)

KAZIMIERZ.

Panie! już wszystko tam czeka gotowe!...
(na stronie)
Kanclerz!!!

SAMUCHA.

Zapoźno!... Wrócić!... boska wola...
W usługach Polski dla was życie nowe,
Bo mnie już odtąd czeka inna dola:
Mój duch tam... stanie odtąd dla przestrogi,
A wichrzyciele niech się przed nim wzdrygną,
Mej śmierci odgłos niech odstraszy srogi
Tych, którzy po mnie chorągiew podźwigną.
Skończyłem z Bogiem... wyrok Polski czeka...
Krwią moje imię zapiszą jej dzieje...
Dość zdrad i wichrzeń!... chwila niedaleka...
Wszystko skończone... biała chustka wieje...
(wieje białą chustką u okna)

KANCLERZ (patrząc w niebo)

W litości twojej przebacz jemu, Boże!

GRYZELDA.

Zbaw go, o! Chryste! przez twe święte rany!

KAZIMIERZ (ze łzami)

Wszystko stracone!... Ja na Zaporoże
Powracam odtąd...

EZECHIEL.

Idę na Bielany.

SAMUCHA (zdejmując z piersi wstęgę)

Ta wstęga, droga tak dla serca mego,
Która świeciła wiecznie na mem łonie,
Twoją... Zamojski!... przyjmij ją z rąk tego,
Który z nad grobu łączy wasze dłonie.
(Łączy ich dłonie. — Podwoje się otwierają i widać w głębi straż czekającą na Samuchę. Do kanclerza)
Ty!.. z mieczem groźnym stój na prawa straży!
Wiek niech ci płynie długie lata świetny!
Niech cię los dalej ze szczodrotą darzy,
Ojcze ojczyzny!... oby nie bezdzietny!
(do Gryzeldy)
Gryzeldo!... ducha jedyna wybranko!...
Dla mnie twa postać i nad grobem droga.
Żegnaj na wieki!... moich snów kochanko!...
Ty módl się za mnie!... o! módl się do Boga!

(Zasłona spada)

KONIEC.

Dwunastu solenizantów.

Wyjątek z pamiętników familijnych.

Kiedy pokutując za winy naszych jezuickich przewodników, po nieszczęśliwym upadku kraju spostrzegliśmy, że omamieni daliśmy się bezkarnie zabijać na duchu, wtedy po wypędzeniu naszych szkolnych gasicieli światła, choć poźno uczuliśmy potrzebę zastąpienia ich przez obudzenie wrodzonych nam popędów ku światłu, zacząwszy od podniesienia się w narodowości. Jakoż na ruinach obalonego zakonu powstawały szkoły z odmienną dążnością. Nie odrazu jednak otrzęśliśmy się z przesądów, nad których rozszerzeniem przez paręset lat niezmordowanie pracowano. Już Stanisław Leszczyński, który miał zbawić Polskę od przygotowanego jej upadku, chociaż nie dopuszczony do powrotu na tron, wpłynął jednak za pośrednictwem przysłanych nam nauczyli w Pijarach na zreformowanie wychowania młodzieży naszej. Otóż zaczęła się walka między stronnictwem wstecznem i postępowem. Ostatnie nie mogło wprawdzie ocalić upadającej budowy państwa, usiłowało jednak podać sposoby dźwignienia jej w odleglejszej przyszłości. To stronnictwo reprezentowane było przez takich mężów, jak Józef Czartoryski, Zamojski, Chreptowicz, Stanisław Małachowski, Poniatowski podskarbi, oraz innych, którzy przyznali, że brak oświaty i ducha religijnego wykierował naszę szlachtę na Kaimów względem swej młodszej braci. Otoż oni pierwsi uwolnili swoich włościan od poddaństwa i skreślili plan do konstytucyi, mającej odrodzić naszę krainę. Dalsze wypadki nie pozwoliły się rozwinąć zbawiennym ustawom. Nadeszły czasy, w których największe pomysły i poświęcenia nie mogły doprowadzić do pożądanego celu. Wobec nieprzychylnych okoliczności zdobywano się na pomysły, które jakkolwiek ukryte przed zwyczajnem okiem, miały w dalszej przyszłości podobne owoce, jak te, które przygotowane były w reformie politycznej.

Stanisław Staszyc urzeczywistnił w ustawie towarzystwa rolniczego Hrubieszowskiego swój plan stopniowego wykupywania dóbr i usamowalniania włościan w ten sposób, że w przeciągu pewnej liczby lat cała Polska dźwignęłaby się z nieszczęsnego poddaństwa włościan, a tem samem byłaby sobie zapewniła drogą pokoju takie stanowisko, do jakiego inne państwa tylko przez rewolucyą dochodziły. Wszakże tak wielki pomysł sparaliżowali właśnie tych, których rękom jego rozwijanie powierzone zostało.

Równocześnie starano się wyplenić chwast, głuszący przystęp zdrowym ziarnom, przez zbliżenie do siebie wszystkich stanów, osłabiających się wzajemną walką, a przeto zagrażających śmiercią całości narodu. Musiano więc zbyt wybujałym prawom historycznym i przywilejom jednego stanu przeciwstawić prawo natury. Trzeba było dowieść, że człowiek z natury nie jest tak zepsutym, jak to głosili mistrze dawnej szkoły, to jest, że człowiek wyszedł z rąk boskich niewinnym i szlachetnym, i że grzechem pierworodnym było właśnie wyniesienie się jednego stanu nad drugi, i chęć przyswajania sobie przez nieposłusznych aniołów uprzywilejowanej kasty jakiejś nadludzkiej natury, a tem samem poniżenie innych stanów odsądzeniem ich od praw boskich i ludzkich; trzeba było wykazać powód owej zdziczałości, kładzionej na karb wrodzonego zepsucia. Oba stronnictwa przyznając sobie słuszność zgodziły się na odbycie próby.

I.

W niewiele lat po pierwszym podziale Polski był liczny zjazd u Ordynata Zamojskiego. Obchodzono święto narodowe Ś Stanisława. Sam Ordynat Andrzej szczególną miał słabość do wszystkich Stanisławów, czyto dla patrona naszej Polski, czy dla tego, że był wielbicielem Stanisława Leszczyńskiego, bo wątpię, czy panujący Stanisław August obudzał w nim jaki afekt, chociaż był spokrewniony z jego żoną z domu Czartoryską; ale to pewna, że jego młodszy syn był jego największym faworytem. Szczególnym trafem i guwerner jego synów nazywał się Stanisław (Staszyc), równie jak niegdyś i jego nauczycielem był Stanisław (Konarski). Sympatya współczesnych manifestuje się zwykle nadawaniem dzieciom imion ulubionych osob.

Otóż w imieniu swego syna wyprawiał teraz Ordynat imieniny dla wszystkich znanych sobie Stanisławów. Dziwnem zrządzeniem zebrało się dwunastu Stanisławów, z tych sześciu małoletnich i prawie rówienników syna, a mianowicie: Zamojski, Potocki, Sołtyk, Grabowski, Małachowski i Męciński ze swoimi nauczycielami, między którymi Staszyc i Rykaczewski, obaj tegoż samego imienia; dalej ze starszych: Wojewoda Stanisław Małachowski, Stanisław Sosnowski, podczaszy czernigowski, stryj mego ojca (słowa wuja Ignacego) i brat stryjeczny Józefa wojewody Sosnowskiego. Ten nasz kuzyn Stanisław miał za sobą Humiecką, blizką krewnę kanclerzyny koronnej z Humieckich Małachowskiej. Był tu jeszcze Stanisław Poniatowski, synowiec króla, który dla jakichsić nieporozumień opuścił Warszawę i przybył tu z księciem Józefem Czartoryskim.

Wreszcie znalazł się tu jeszcze dwunasty Stanisław, t. j. Szczepanowski, wyprowadzający swój ród z bocznej linii św. Stanisława.

Zjechało się tu nadto wiele innych dostojnych osób rozmaitych imion: jak Zamojscy, Czartoryski, Potocki, Branicki, Lanckoroński, syn Stanisława kasztelana radomskiego, itd.

W kaplicy zamkowej odprawił mszę ksiądz Rykaczewski, a mowę miał ksiądz Staszyc.

Ordynat podziękował kaznodziei w imieniu wszystkich i zastosował do niego słowa Filipa Macedońskiego, wynurzone do Arystotelesa, kiedy go zaprosił na nauczyciela dla syna Alexandra: Et mihi gratias Deo agendum est, quod mihi dedit filios Alexandrum et Stanislaum eo ipso tempore, quum te Stanislao praeceptore uti possunt. [1])

Książę Józef Czartoryski, Litawor Chreptowicz, książę Poniatowski, Stanisław Małachowski, Stanisław Potocki i wszyscy obecni tu solenizanci dali sobie verbum nobile, [2]) że zaraz przystąpią do podźwignienia stanu włościańskiego. Jakoż zaraz przy stole najprzód Chreptowicz, a potem Józef Czartoryski z takim zapałem przemówili za usamowolnieniem włościan, uznając je za jedyny środek podźwignieniu upadającej ojczyzny, że wszyscy obecni, będąc już w gruncie przekonani, mieli się podpisać na wszelkie ustępstwa dla wywłaszczonego ludu: kiedy wtem Jacek Małachowski, brat Stanisława, jeden z Potockich, a potem Lanckoroński i Branicki wystąpili z opozycyą. Rozdzielone tu głosy utworzyły dwa stronnictwa, dwa obozy, które jeżeli jeszcze nie zupełnie odbiły się w konfederacyi Barskiej i Targowickiej, to uorganizowały się w konstytucyi 3. maja i w jej opozycyi, t. j. w konfederacyi Grodzieńskiej.

Quot capita tot sensus. [3])

— Wasza filantropia — rzecze Lanckoroński — zbuntuje nam nanowo wszystkie chłopstwo. Mało nam było Chmielnickich, Gontów, nie dosyć się krwi szlacheckiej przelało, horrendum dictu [4]), chcecież im jeszcze folgować? Oho, mości panowie, tego już za wiele. Trzeba się było zblizka patrzeć na to rozwścieczone bydło. Gdyby nie hetman Branicki, ta nie ten poczciwy jenerał moskiewski, Kreczetników, to nie wiem, czybyśmy tu mogli dzisiaj tak spokojnie perorować. Ot, póki jeszcze klekocą kości tych buntowniczych wisielców po wiejskich szubienicach, póty jeszcze cicho; ale niechno w ich miejsce zaczną klekotać tacy tam kaznodzieje, reformatory i demagogi, to utinam sim falsus vates [5]), jeśli się nie zwali na nasze karki ta straszna plaga, gorsza od hordy tatarskiej. Zobaczycie, czy ją potrafią zażegnać wszyscy tam Stanisławowie sancti et profani [6]), żywi i umarli. Ród Chama na wieki przeklęty, bo plebejusz targnął się na patrycyusza, bo syn znieważył ojca; a tandem [7]) między Semem a Chamem nie ma żadnej solidarności.

— „A jednak Cham był bratem Sema — rzecze książę Czartoryski — był również synem Noego; śmiał się z pijanego ojca, to cała jego wina. Syn śmiał się, ergo [8]) zgrzeszył, ojciec się upił i stracił rozum, to równie zgrzeszył; kiedy więc oba zgrzeszyli, nie mają sobie nic do zarzucenia. Darujcie bracia, ale nasi jezuiccy mentorowie poili nas swoją scholastyką, i tak nam głowy pozawracali, żeśmy politycznie po pijanemu mordowali i siebie i naszych młodszych braci i nasze dzieci i nasz ludek wiejski. A dzisiaj czasby otrząść się, otrzeźwić, czasby zrozumieć, czem jesteśmy względem siebie i ludu i czem być powinniśmy. Co do mnie, to uwolniłem swoich włościan od poddaństwa w moich dobrach, i pewnie tego nie będę żałował. Zresztą któżby się tu oglądał na ofiary, kiedy idzie o naszej ojczyzny odrodzenie.

Marszałek Stanisław Małachowski odezwał się w podobny sposób, wreszcie zakończył Ordynat:

— Nie widzę innego środka ratowania naszej ojczyzny z czekającego ją upadku, jak przez nadanie włościanom zaprzeczonych im praw ludzkich i obywatelskich i rewindykowanie krzywd, wyrządzonych im prawami historycznemi. Poddaństwo znosi się w całej ordynacyi, a nadto postanawiam, żeby w mojej akademii Zamojskiej przyjmowana była młodzież każdego stanu, aby równie i włościanie mogli korzystać ze światła i mieli swoich reprezentantów między ludźmi, mającymi stać kiedyś u steru rządu; bo przecie rząd rozciągając się na wszystkie stany, powinien być odbiciem potrzeb i osobistości tych stanów. Wyznaczam więc osobny fundusz na utrzymanie w naszej szkole głównej kilku uczniów ze stanu włościańskiego. Niech to będzie na pamiątkę syna mego Stasia, a dla pana Staszyca spodziewam się zrobić nie małe ukontentowanie, kiedy jego uznaniu pozostawiam pierwszy wybór dzieci włościańskich, mających się kształcić w rzeczonej szkole. Będzie to pierwsza próba, czy urodzenie lub zasługa ma być miarą wartości człowieka? czy włościanin nie jest nam równym człowiekiem, czy wychowanie potrafi w nim zatrzeć różnicę pochodzenia?

— Mój Ordynacie — przerwał Lanckoroński — pójdę w zakład, że z chłopskiego rodu nic poczciwego nie wyrobi się; oho, nie urodzi sowa sokoła. Stawię w zakład jednę z moich włości, czyli sto głów za jednę.

— „Przyjmuję — rzecze Ordynat — i biorę panów na świadki. W miejsce zaś zakładu daję fundusz na wychowanie, a p. Lanckoroński zwróci mi tylko koszta za trzech

[1]) A mnie należy dziękować Bogu, że mi dał synów Alexandra i Stanisława w tym samym czasie, gdy mogą użyć ciebie, Stanisławie, za nauczyciela. [2]) Słowo szlacheckie. [3]) Ile głów, tyle zdań. [4]) Zgroza mówić. [5]) Obym był fałszywym prorokiem. [6]) Święci i świeccy. [7]) przeto. 8) więc.

uczniów, jeśli się przekona, że wychowanie nie zawiodło naszej nadziei. Czy zgoda panie kasztelanie?

— Zgoda, zgoda; ale termin?

— Przynajmniej dwunastoletni — rzecze Staszyc.

POLOWANIE NA WYCHOWAŃCÓW.

Lirnik.

Odtąd Staszyc wyszukiwał corok kilku chłopaków włościańskich, i oddawał ich najprzód do szkoły przygotowawczej, potem do gimnazyum; a byli nawet tacy między nimi, którzy kończyli uniwersytet i odznaczali się nauką i nieposzlakowaną prawością charakteru. Otóż zaraz na miejscu ks. Rykaczewski zarekomendował mu naszego Jaśka [1]), prosząc listownie brata o wydanie tego chłopca. Właśnie w parę godzin po owej tam katastrofie z kotami przyjechał sam Staszyc do Ostrowa. Zgorszył się nie mało, słysząc o sromotnej odprawie niewinnego chłopca, i udał się za nim podług wskazanego śladu, a znalazłszy go w Mikołajowie, zrobił wycieczkę za Stanisławów aż do Karpat węgierskich, gdzie w ekskursyi naukowej geologicznej znalazł biednego sierotę, chłopca huculskiego. Lanckoroński ze swoich dóbr przysłał mu także stosownie do umowy do wyboru kilku chłopaków w oznaczonym wieku. Staszyc wybrał syna masztalerza, którego ojciec miał wiele przywar.

Zanim Staszyc powrócił ze swojej wycieczki, nasz Jasiek dowiedział się o swojem pochodzeniu. Po skończonym szabasie udał się ze starą Maruną [2]) z karczmy do jej mieszkania. W walącej się chacie była tak zwana świetlica, jakby na żarty tak nazwana, ponieważ w niej nie było światła ani w dzień ani w nocy. Okna byłyto dziury z małemi szybkami; w owym bowiem czasie jakieś dziwne prawo nie pozwalało chłopom używania widnych, równoszybnych okien i kominów. Baba rozłożyła ogień na kominku.—Rozhostysia—rzekła.—Jasiek zdjął buty i kurtkę, zasiadł na kominie i wyciągnął obnażone nogi ku ogniowi. Tymczasem przyniosła baba mleka, i podając je chłopcu spojrzała ciekawie na jego prawą nogę. Spostrzegłszy u niego sześć palców, zawołała całując go kilkakrotnie po nogach i po głowie:

— O mijto, moje serdce ne oszybyłoś, to ty nasz! O tak, ty syn mojeho ridnaho, ty mij dorożajszij wnuczok. Po tij noźi ja tebe uznaju. Małenkuju dytynu ukrały tebe u nas cyhany.

Kiedy to mówiła, łzami radości skrapiając chłopca, wszedł do chaty dziad z przewodnikiem.

Baba rzekła do wchodzącego:

— Ta uże z Maniawy z prazdnyka? Jakże zdorowie?

— Dobre. No dajte mamo szczo perekusyty.

— Ot kisłoje mołoko taj kawalczik chliba. A znajesz ty Mykoła, kto do nas w hosti priszow? Ot szczastie dla nas. Ot baczysz, to twij ridnyj syn Iwasio, kotoroho my opłakały. O tak, buw win hod w służbi w Ostrowskim dwori od pamiati. Oj biedna twoja dytyna, ta jeho wybyły tam za niszczo i wyhnały. A ja tobi howoryła, szczo tam czudno podobny na tebe chłopczik.

Jasiek, który dotąd na pieszczoty babki nie bardzo był tkliwym, przybiegł teraz do dziada i ucałował go w rękę. Wzruszony dziad pochwycił go w swoje ramiona i rzewnie powtarzał: „Mij syn, mij ridnyj, dorohi. Ta Hospod' Boh wertajet mi tebe. Desiat lit, jak ja tebe poterał, a teper... o tak, ty mij odin syn Iwasio, ne prawda?“ Po takiej radości powieczerzawszy dziad schwycił lirę i rozrzewniony zanucił tak tkliwą dumkę, że się i Jaś i baba rozpłakali:

Oj dolaż moja, neszczastływa dola!
Iszczu tu szczastiu, najty ho ne mohu;
Od seła w seło, od pola do pola
Honju za szczastiem, dohnaty ne mohu.
Dohnaty ne mohu, bo lid bidnyj wsiuda,
Na swojej zemli bez zemli, bez suda.
Nasz lid pred wiki ne znaw szczo newola;
Oj dolaż nasza, neszczastływa dola!

Oj dolaż moja, neszczastływa dola!
Zapłakaw sokoł w klitci osłepłennyj;
Sokoł pred wiki ne znaw szczo newola,
A teper plennyk ne jemu świt denny.
Oj dolaż nasza, neszczastływa dola!
Nasz lid pred wiki ne znaw szczo newola,
Ne znaw szczo newola, ne znaw szczo newola,
Oj dolaż nasza, neszczastływa dola!

Kiedy dziad przestał spiewać, Jasiek, który z rozrzewnieniem słuchał czystego i silnego głosu, całował go znowu po rękach i kolanach.

— Ach mij tato — rzekł — jakto prekrasno! Czomu tak ne piejut drugije didy?

— „Czomu? bo drugije didy ne czujut toho, szczo ja czuju, bo drugije didy ne buły tam, de ja buw, i ne wydiły toho, szczo ja wydiw. Ot baczysz, twij batko to ne prostyj sobi chrestijanin.

[1]) Chłopak ten przyjęty został jako znajda do służby dworskiej w Ostrowie, ale właśnie w tym czasie został za jakiś figiel z kotami wychłostany i wypędzony.

[2]) Baba, posługująca w karczmie, u której Jasiek znalazł przytułek.

TROJAKA PRÓBA PODŹWIGNIENIA NATURY LUDZKIEJ.

Tryumf i upadek.

W dniu oznaczonym Jasiek pożegnał się ze znalezionym ojcem i babką, i w towarzystwie drugiego chłopca wyruszył ze Staszycem do Zamościa. Tu przyjęci byli do szkółki przygotowawczej, gdzie znaleźli już poddańczuka przysłanego przez Lanckorońskiego. Tego trzeciego chłopca nazwiemy Błażejem Furmankiewiczem, bo doprawdy prawdziwe jego nazwisko wyszło mi z pamięci. Wszyscy trzej byli pilni i pojętni; wszakże Błażej z początku dziki, w kilka lat zmienił swoje wrodzone usposobienie i stał się przykładnym, a przedewszystkiem nabożnym. Stosownie do jego wrodzonych popędów przeznaczono go do stanu duchownego. Kiedy już skończył gimnazyum, oddany był do seminaryum w Krakowie, gdzie w kilka lat otrzymał święcenie na dyakona. Właśnie w owym czasie przyjechał tu Lanckoroński. Będąc z natury popędliwym, zbił swego masztalerza tak strasznie, że go musiano aż na śmierć dysponować. Wezwany kapłan poznaje w niewinnie pobitym swego ojca. Ugodzony do żywego taką niegodziwością, zapozywa Lanckorońskiego w mniemaniu, że jego ojciec już umarł. Aleź masztalerz po śmierci pozornej przywrócony został do życia; a wojewoda przypomniawszy sobie zakład z Ordynatem, gdy sądownie skazano go na grzywny, i kiedy mu ktoś bezimiennie wyrzucał tyrańskie jego obchodzenie się z ludźmi, dając przytyk, że zasługi przodków niepoparte osobistą godnością czynią go podobnym do kamiennego konia, z którego zdjęto posąg wielbionego bohatera — obrażony tak dotkliwem porównaniem i obawiając się przegrania zakładu z Zamojskim, zwłaszcza że już termin nadchodził, zapozwał konsystorz o zabranie mu poddanego, wymagając zwrotu kapłana jako swojej własności. Nie wiem, czy mi uwierzą, ale odwołuję się do istniejących aktów tego procesu i do pomników historycznych. Otóż skończyło się na tem, że konsystorz nieszczęśliwego kapłana pozwolił sobie odebrać, jakby jaką rzecz, mieniącemu się jego właścicielem Lanckorońskiemu. Do smutnych dziejów naszej przeszłości przybywa jeszcze i ta niesłychana plama dla sądu i ta zniewaga duchownego stanu.

Furmankiewicz zwrócony był Lanckorońskiemu jako swemu panu, który natychmiast obdziera go z szat duchownych i związanego odwozi do swoich dóbr, gdzie mu kazał wyliczyć kilkadziesiąt batów i zrobił go swoim forysiem. Chciał tym sposobem dobitnie dowieść, że wychowanie i zasługa nie mogą, a raczej nie powinne wynosić człowieka nad urodzenie.

Otóż nasza Polska, chorując na takich magnatów i na takie sądy i na takie konsystorze, nie mogła się wyleczyć, kiedy aż umierać musiała. Czemuż jeszcze w naszych czasach cofamy się do wyobrażeń kastowych, hołdując nowemu prawu, wynoszącemu urodzenie nad zasługę?

Chłopiec z Porohów karpackich pochodził z rodziców dyzunickich, bo w tej stronie przechowywała się jeszcze szyzma, tajemnie propagowana przez Bazylianów dyzunickich z poblizkiego klasztoru Maniawskiego, zwanego Skitem. W czasie obławy na zbójców, przechowujących się w tych stronach, posądzono klasztor o przechowywanie ich, i to było pretekstem do wypędzenia ztąd mnichów i zamknięcia monasteru za panowania cesarza Józefa.

Otóż Porożański chłopiec korzystając z nauk, ukończył uniwersytet i jako poczciwy i światły człowiek wykierował się na znakomitego urzędnika. Domyśleć się trzeba, że jego pochodzenie i pierwotne nazwisko musi być w tajemnicy, bo czyliżby szlachta zniosła obojętnie między sobą parweniusza. Gdyby nie wychowanie, to ów chłopiec nie byłby niczem więcej, jak karpackim hucułą, a może nawet nie mogąc w sobie przytłumić wrodzonej żądzy odznaczenia się, jako sierota popadłszy między złych ludzi, zostałby był przywódcą jakich opryszków, zwłaszcza, że pierwsze wrażenie, przykłady i powieści rodzinne obudziły w jego dziecinnej wyobraźni jakąś niepowściągnioną skłonność ku temu rodzajowi swobody i niezależności ludowej, której bohaterów widział we współczesnym Doboszu i innych hersztach zbójeckich.

Homo proponit, Deus disponit. *)

Pomysły Staszyca, jakkolwiek zbawienne, nie wszędzie jednak pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały. Chęci jego były najlepsze, ale któż temu winien, że pewne osobistości, na których jak na prądkach, jak na środkach zbiegających się w jednym punkcie dobra powszechnego, chciał osnuć tkaninę odrodzenia narodu, że mówię pewne, nieugięte indywidua wyrywały się gwałtownie z tego koła, w które je wola genialnego kierownika zażegnać chciała. Niezbadane są wyroki boskie; gdyby jednak nie było takich nieposłusznych duchów, takich przeczących kontrastów, nie byłoby walki między niebem a piekłem, nie byłoby grzechu pierworodnego, nie byłoby strąconych aniołów, nie byłoby wypędzonych z raju pierwszych rodziców.

Wola Lanckorońskiego zepchnęła z wymierzonego i rozmyślonego toru byt jednej osoby; ta wola chciała stanąć na straży pogańskiego fatum i przeznaczenia rodowego.

Chrześcianizm jest najżywszą negacyą tej podstawy kastowości indyjskiej i muzułmańskiego fatum; a jednak historya świadczy, że czem był Lanckoroński względem biednego kapłana, tem była względem pojedynczych stanów

*) Człowiek układa, Bóg rządzi.

i całych narodów średniowieczna hierarchia kapłańska, osłaniająca to zbrojną szatą krzyżacką, to pokornym kapturem zakonnym swe niechrześciańskie plany zbudowania babelskiej wieży teokracyi.

Wycofanie ducha z drogi postępowej; zaprzeczenie mu jego znamion i kierunku ku doskonałości, i przykucie do jego źródła; zgwałcenie praw człowieczeństwa; tamowanie swobodnego rozrostu i postępowego biegu:—oto groźny anioł, broniący ludziom zbłąkanym przystępu do utraconego raju.

Próba na Błażeju Furmankiewiczu wypadła na korzyść tej zasady, że zasługa czyli wartość osobista, wyrabiająca się wychowaniem, przewyższa urodzenie; ale temu przeznaczeniu natury ludzkiej zaszła drogę wola takiego człowieka, jakim był jego prześladowca.

Jest przeznaczenie, ale obok niego staje zły duch, usiłujący je zniweczyć; ten szatan wydaje śmiertelny bój dobremu duchowi, aniołowi stróżowi przeznaczeń ludzkich. Wola własna lub cudza, a nawet i traf (casus) może zachwiać nasze przeznaczenie, może pokonać tego anioła stróża naszego szczęścia. Próba na Porożańskim (anonimie) odbyła się świetnie. Dobry duch pokonał w nim złego ducha, przeznaczenie wyszło z tryumfem, i anioł stróż przyozdobił go palmą zwycięztwa. Była to powtórna edycya biografii samego Staszyca, jego sobowtór (alterego). Takiemu człowiekowi, nie innemu, powinien był ustawodawca towarzystwa rolniczego Hrubieszowskiego powierzyć dalsze rozwinięcie tego planu. Nie uczynił tego; widać, że anioł stróż nie wyszedł z tryumfem w sprawie obchodzącej naszą ludność wiejską, tę podstawę narodowości polskiej.

Pierwsza próba miała wszelkie widoki dostępienia pożądanego celu, ale ją obca wola zachwiała.

Druga próba, nie doznając przeszkód ani wewnętrznych ani zewnętrznych, nie tamowana ani własną ani cudzą wolą, odnosi tryumf nad przesądem urodzenia i zapewnia szczęście osobiste. Podobne indywidua, znajdując wspólny punkt oparcia, zdolne są ugruntować szczęście powszechne.

Kiedy nam przychodzi skreślić wypadek trzeciej próby, pióro wypada z ręki. Widzimy, jak anioł stróż przeznaczeń ludzkich załamuje ręce. Tu już nie ma ratunku. Gdzie jeszcze zły duch występuje w drugiej osobie z zewnątrz, tam zewnętrzna walka zostawia po sobie żal przegranej sprawy, tam człowiek upada przed wyznaczoną sobie metą; wszakże anioł stróż ocierając łzy nie daje upaść jego duchowi wpół drogi, ale wskazuje mu inne życie ku dopełnieniu zerwanego przeznaczenia. Ale tam, gdzie anioł ciemności już nie staje przy człowieku, lecz we własną jego wolę przechodzi; gdzie zły duch przerzuca się w jego własne ja; gdzie dwie wole najprzód tylko zbratane, jednoczą się wreszcie: tam już rozbrat niepodobny, tam zły duch staje w widomej postaci człowieka, i oto człowiek sobowtór szatana. Anioł stróż odwraca twarz od wydartej sobie duszy. Opuszczony człowiek od dobrego ducha, nie czując swego upadku, poddaje się swemu piekielnemu opiekunowi. Wychowanie wynosząc go nad urodzenie, służy tutaj tylko za maskę zwodniczą, pokrywającą szatańskie dążności.

Takie wsteczne osobistości, łącząc się w jednym punkcie zła powszechnego, chcą ziemię w piekło zamienić.

A taką istotę, opanowaną przez wolę złego ducha, wyrobił w sobie nasz Jasiek, nazywany od dnia wejścia do szkół Janem Ufniarskim. *) Kiedy szatan chce najbardziej dokuczyć ludzkości, niech zostanie ministrem, księdzem albo prawnikiem. Ufniarski został prawnikiem, obrońcą. Zły duch obrońcą! Jakaż to gorzka ironia; a jednak taka ironia najczęściej się spostrzega w dobrze ułożonych a raczej w układanych postaciach prawników.

W. Dłużniewski.

*) Temuż panu Ufniarskiemu, który w swoim czasie odznaczał się jako biegły prawnik i adwokat, zawdzięcza familia w pamiętniku niniejszym figurująca, iż pozbawioną została wszelkich korzyści z dóbr ziemskich, przypadających na nią prawem familijnego spadku. Majątek ten familijny, składający się z czterech pięknych włości, wyłudzony został podstępnie przez wspomnionego tu właśnie adwokata pana Ufn., i chociaż wytoczony został proces, który trwał przeszło lat 40 i przed kilkoma laty dopiero został ukończony, to jednak korzyść z wygranej nareszcie sprawy dostała się tylko panu Małeckiemu, jako jedynemu z członków familii, co wobec potężnych przeciwników nie zachwiał się, lecz będąc prawnikiem, w obronie coraz bardziej wikłającej się sprawy wytrwał aż do jej ukończenia. Nie należy jednak mniemać, że udało się p. Małeckiemu wywindykować dla siebie całość majątku, gdyż odzyskał tylko przypadającą na siebie cząstkę. Reszta członków familii, do której i autor pamiętnika niniejszego się liczy, została przez sukcesorów Ufniarskiego wywłaszczoną na zawsze.

✝

WINCENTY POL.

1807 † 1872.

Pol umarł!...

Wieść ta jak iskra elektryczna wstrząsnęła całym narodem, w każdem sercu budząc żałobne uczucie, w każdem oku łzę szczerego żalu. Bo też jak Polska szeroka i długa, w każdym, choćby najciaśniejszym zakątku naszej ojczyzny, pod dachem szlacheckiego dworku i pod strzechą słomianą znane i kochane było imię poety, co z piersi swej wyspiewał cudną „Pieśń o ziemi naszej.“

Rzadko istotnie wieszcza, któryby cieszył się tak szeroką sławą i taką zarazem popularnością jak Pol Wincenty. To, co było najgorętszem Mickiewicza pragnieniem, który chciał jeno: „Dożyć tej pociechy, aby te moje pieśni zbłądziły pod strzechy wieśniacze...“ to Pol osiągnął bez trudności. Pieśni jego jak pieśni bardów, których imienia lud nie pamięta, lecz których duchem karmi się od wieków, przeszły i zostały w pamięci ogółu.

Z pieśnią jego szły w r. 1830 zastępy powstańcze w bój krwawy z wrogiem; pieśniami jego koiliśmy nasz smutek narodowy i z nich czerpali miłość do ziemi ojczystej; w pieśniach Pola nakoniec czerpaliśmy siłę do zwycięzkiego w lepszą przyszłość pochodu. A jako jaskółki zwiastują wiosnę, tak każda piosenka Pola zwiastowała nam spokój po ciężkich burzach i zawodach.

Pol umarł...

Rok ten, jak w pieśniach Wiktora Hugo powinienby nosić miano „strasznego roku.“ Wszystko co zacne i szlachetne, schodzi do mogiły, wielkie imiona jak gwiazdy gasną na firmamencie sławy narodowej; zda się, że śmierć sama obchodzi wielką stuletnią rocznicę śmierci naszego narodu. Zasłużeni weterani ustępują z pola... a z tych, coby godnie podtrzymać mogli sztandar ojczystego piśmiennictwa, niewidać nikogo... Straszno spojrzeć w przyszłość!

Spoczywaj cicho, spiewaku nasz serdeczny, w ziemi którąś tak gorąco ukochał, spoczywaj obok popiołów królów naszych, bo miejsce twoje tam w górze przy ich biesiadzie duchowej; spoczywaj u stóp Wawelu, bo z tamtąd, podług słów poety: „bliżej ci do nieśmiertelności.“

* * *

Mamyż mówić o życiu poety? Spiewał i kochał ludzi, krzywdy przebaczał, uraz nie pamiętał, i jak Milton, wyspiewawszy nam cały nasz „raj utracony“, oślepł pod koniec dni swoich.

„Pieśni Janusza“, tak nazwane od imienia przyjaciela dni młodych poety, Janusza Czetwertyńskiego, „Pieśń o ziemi naszej“ — „Mohort“ — „Wit Stwosz“, który to utwór uważał Pol za najlepsze swoje dzieło, „Pamiętnik Winnickiego“ — „Stryjenka“ — „Pacholę hetmańskie“ — „Pieśń o domu naszym“ — i niedrukowana dotąd „Pieśń o grobie naszym“, mająca znajdować się w rękach rodziny Turnów w Poznańskiem (przynajmniej w ich domu Pol ją w czasie pobytu swego w Wielkopolsce pisał), oto zaledwie połowa tego, co poeta narodowi i literaturze zostawił.

A my, jakże odpłaciliśmy się poecie? Świadek ostatnich lat jego życia, bez wzruszenia wspomnieć nie mogę o niedostatku, jakiego często Pol zaświadczał...

Coraz to więcej opadając na siłach, marzył jeszcze o wydaniu w 6 tomach wyboru swoich poezyi, lecz mu już sił zabrakło do tej pracy.

Po długiej i ciężkiej chorobie na dniu 2 grudnia b. r. duch poety uleciał ku lepszej krainie.

Pogrzeb Pola był wzruszającym dowodem ostatniej czci, którą naród wieszczowi swemu oddawał. Tysiączne tłumy zalewały rynek, świątynię pańską, w której zwłoki wieszcza były na krótko wystawione, i ulice, przez które przesuwał się kondukt pogrzebowy. Nad grobem przemawiało kolejno sześciu mowców... a łzy całego narodu padały na wieko trumienne.

* * *

Jeszcze słowo.

Było to w lutym 1869. O czwartej, jak zwykle, przyszedłem do Pola, który był dziwnie rozżalonym dnia tego. Mówiono mi, że rankiem starł się był w zdaniu z jednym z przywódców przeciwnego Polowi obozu politycznego...

— Co panu profesorowi (tak go nazywano powszechnie) dolega? — zapytałem dostrzegając w nim niezwykłego rozstrojenia.



R E J T A N.

(Podług obrazu J. Matejki) (*Ob. stron. 496.*)

(*Ob. stron. 496.*)

— At, nic... machnął ręką i przeszedł się żywo po pokoju. A gdy mu chciałem podać ramię z obawy, aby nie potknął się o jaki mebel, odsunął mię lekko rzekłszy: „Dziękuję, ja jeografią mego pokoju znam dobrze.“ Potem się rozpogodził i kazał mi wziąć pióro do ręki, a po chwili podyktował wiersz następujący:

Myśmy kochali Polskę jak matkę;
Oni z tej Polski zrobili jatkę,
Jatkę, gdzie święte tej matki ciało
Pocięte w sztuki bez czci zostało.

Myśmy oddali w całopaleniu
Siebie na ołtarz, w świętem natchnieniu...
Oni targnęli się po ostatki
Naszej spuścizny, tej świętej matki,

Jak głodne wilki lub psi niewierni.
Myśmy z tych naszych przyjęli cierni
To, co najbardziej duszę bolało;
Oni koronę skrwawioną całą
W błoto rzucili...

Wtem weszli pp. Anczyc i Karol Chłapowski i przerwali dyktowanie. Wiersza tego, pomimo kilkakrotnego przypomnienia z mojej strony, Pol kończyć nie chciał. Zachowałem go na pamiątkę, i dziś dopiero po śmierci wieszcza dzielę się nim z czytającymi, nie mogąc uważać go dłużej za moję wyłączną własność. *)

Władysław Bełza.

Rejtan J. Matejki.

Dawać polskiemu czytelnikowi obszerny komentarz do mistrzowskiego obrazu Matejki, który reprodukujemy, byłoby zaprawdę grzechem. Któż z nas nie zachowuje w żywej pamięci fatalnego momentu dziejów ojczystych, co genialnemu artyście dał przedmiot do jednej z największych kompozycyj, na jakiej oko ludzkie kiedykolwiek spoczęło? Któż z nas nie zna aktorów tej katastrofy w tragedyi losów ojczyzny naszej? Uosobione zepsucie wiekowe społeczeństwa, ostatecznie się tu ściera z tym lepszym pierwiastkiem starych serc polskich, co tyle uroczego światła rozlewa po widowni dziejów naszych w epokach: piastowskiej i jagiellońskiej. W postaci Rejtana posągowo odbił się wyraz tego pierwiastku. Fale zepsucia, przewrotności i brutalnej przemocy nadaremnie siliły się obalić go; fale te przeszły, a posąg nasz czysty i święty prawie zwyciężył i w najpóźniejsze wieki będzie ideałem miłości ojczyzny i obywatelskiego hartu.

Najwłaściwiej podobno uzupełnimy tę krótką rzecz o przedmiocie naszej ryciny, przytaczając z tragedyi Bronisława Komorowskiego p. t. „Rejtan“ ustęp, oddający właśnie chwilę, ujętą przez Matejkę w ramę jego kompozycyi. Jest to mianowicie Scena IV. Aktu III. wzmiankowanej tragedyi. Rejtan zmusił do wyjścia z sali sejmowej pseudo-marszałka a głównego winowajcę zbrodni, Adama Ponińskiego, lecz oto wracają stronnicy Ponińskiego, by zerwać ostatecznie posiedzenie:

Marcin Lubomirski (występując)
W imieniu pana marszałka donoszę,
Jako po zaszłej tu jego obrazie
Solwuje sesyą do jutra. Więc proszę
Waszmościów, za mną opuścić tę salę.
(większa część posłów zamierza wyjść)

Rejtan (zastępując drogę Lubomirskiemu)
Przepraszam! Zkąd się pan w prawie uczuwasz,
Sesyą odkładać? — To bardzo zuchwale!
Jeśliś rozsądny człowiek, sam to uważ...

Lubomirski.
Spełniam zlecenie.

Rejtan.
Tem ci gorzej, bowiem
Gwałt to zarówno tamtego, jak waści!

Lubomirski.
Waćpanu słowa więcej nie odpowiem,
Ile że lękam się bardzo napaści,
Jakiej sam świadkiem byłem tu niedawno.
(Postępuje ku drzwiom, Rejtan zastępuje)

Rejtan.
Stój!

Lubomirski.
Czemu waszmość wstrzymujesz mię w drodze?
(Zamieszanie w sali; Rejtan, Korsak i Dunin usiłują odwieść posłów od zamiaru opuszczenia sali)

Korsak.
Stójcie, na Boga!

Rejtan.
Zgubę widzę jawną!

*) Pol był ciągłym współpracownikiem Strzechy, drukował w naszem pismie „Wspomnienia z Niemiec“ urywki z pamiętnika, „Obrazy litewskie“ i kilka poezyj a na czoło naszego pisma do rocznika pierwszego nadesłał piękny wiersz p. t. „Do strzechy.

LUBOMIRSKI (do Rejtana)

Puść!

REJTAN.

Nie! chcę dotrwać tutaj na załodze!

LUBOMIRSKI.

Proszę waszmościów za mną, kto roztropny,
Dość już obrazy Boga i człowieka!

(Ciśnie się ku drzwiom, za nim tłum)

REJTAN.

Stójcie! — Kto teraz do wyjścia pochopny,
Niech mi da uczuć butów swoich ćwieka
Głęboko — w sercu — tu!

(Rozrywa odzież na piersi i kładzie się w progu)

Po moim trupie! —
Ja się tak w progu tu rozkrzyżowawszy,
Może i waszę cześć biedną okupię,
I cios ojczyzny powstrzymam najkrwawszy!...

. . . .

(Tłum posłów odchodzi, przestępując leżącego w progu Rejtana. — Kobiety opuszczają loże; okrzyki publiczności za sceną)

GŁOSY (w lożach i za sceną)

Zgroza!!

. . . .

REJTAN (podnosząc się)

To tryumf nasz! — Precz łzy! Zamojskich
Bułata godne dzieło nasze — godne!
Braknie serc tylko i poklasków swojskich...
Ach, to wyrodne dusze! o wyrodne!

. . . .

Lecz wytrwać trzeba tu — i całą wieczność,
Choćby mi w oczy tysiącem dział bito!

(do pozostałych)

Może panowie zrobicie społeczność
Mojej mogile? — proszę...

KORSAK i DUNIN.

Z waścią wiecznie!

REJTAN.

To protestacyą będzie najdotkliwszą
Nielegalności konfederackiego
Sejmu. — A ziemię tę — najnieszczęśliwszą —
Niechaj niebiescy anieli już strzegą!
Człek nie wydołał!

. . . .

ORSZA.

PRZYJAŹŃ i MIŁOŚĆ.

OBRAZEK HISTORYCZNY Z R. 1789.

PRZEZ

PAULINĘ z L. WILKOŃSKĄ.

(DOKOŃCZENIE).

V.

Wszystkich, którzy znali kapitana Napiórkowskiego, groźna o los jego przejęła trwoga. Sąd wojenny w podobnych razach zwykł sobie surowo postępować, a tutaj chodziło o tak wielkiego zdrajcę i zbrodniarza.

Stanisław poszedł do pałacu Patkańskich, do pokoju sypialnego Ponińskiego, i otóż co teraz dla wszystkich okazało się jawnem, co przeszłej zaszło nocy.

W głowach łóżka była szafka, poza nią okno wychodzące do próżnego pokoju, w jednę zamurowane cegłę. Szafka stała odsunięta od muru, że poza nią łatwo mógł się wcisnąć człowiek. W tem oknie służba Ponińskiego zwolna a ostrożnie zrobiła otwór.

Poniński, skarżąc się na ból zęba, twarz owiązał chustką. Kazał przynieść ponczu, poczęstował kapitana Napiórkowskiego, mającego straż, i wcześnie położył się w łóżko, które, jak zwykle, firankami zasłoniono. Kapitan po wypiciu ponczu usiadł przy stole i począł książkę jakąś czytać. Wsparł ręką głowę i zasnął, bo według wszelkiego podobieństwa w podanej mu filiżance ponczu było opium. Po dość długiej chwili ocknął się i powstał, mając głowę dziwnie ciężką i odurzoną. Przystąpił zcicha do łóżka: Poniński leżał kołdrą okryty, odwrócony do ściany, i spał. Kapitan przeszedł się na palcach po pokoju, stanął przy oknie, odchylił zlekka okiennicę, i spojrzał w noc letnią, przecudną, jasną. Wspomniał o ulubionej swojej, zmówił modlitwę... usiadł znowu przy stole, głowa obwisła mu na pierś, i po raz wtóry zasnął, ale na chwilkę tylko.

W ciągu nocy po razy kilka do swojego aresztanta zaglądał, a ten spał ciągle, otulony kołdrą.

O godzinie ósmej zrana ktoś przyszedł, chcąc wi-

dzieć się z Ponińskim. Kapitan zatrzymał gościa w pierwszym pokoju, a sam do łóżka przystąpił. Zawołał na Ponińskiego, a gdy ten nie odpowiadał, pociągnął za kołdrę i zobaczył, że w miejscu aresztanta leżał bałwan, zrobiony z poduszek, chustek, w kaftaniku i szlafmycy... Przerażony spojrzał na szafę, i zobaczył otwór.

Kapitan Napiórkowski, okuty zaraz w łańcuszki, oddany został pod sąd wojenny. Żołnierzy, będących na warcie, uwięziono. Bez zwłoki rozesłano po wszystkich pocztach, po wszystkich stanowiskach i kresach wojskowych rozkazy, by szukano zbiega ściśle i z całą surowością ujęto. A hetman wielki litewski ogłosił, że ktokolwiek ujmie Ponińskiego, otrzyma nagrody tysiąc czerwonych złotych.

Przed wieczorem nocy, w której uciekł aresztant, najął jeden ze służby jego krypę u pisarza mostowego, ażeby ta w nocy do Gdańska odpłynąć mogła.

Pan mój, dziecic na Podlasiu — opowiadał sługa, wymieniając nazwisko jakieś i wioskę — wysłał statki ze zbożem do Gdańska. Zatrzymał się tu dla interesów, a dzisiejszej nocy chce za niemi popędzić.

Umowa stanęła. Pisarz nie domyślił się niczego, bo inaczej byłby od razu zbiegłego przytrzymał.

Od pisarza poszedł służalec nająć przewoźników. Jeden z nich, imieniem Łukasz, poznał sługę Ponińskiego i domyślał się czegoś, ale że ten dobrze płacił, więc i rad był z zarobku. Przyszedłszy zaś do domu, by wybrać się w drogę, żonie swój domysł powierzył.

— Widzi Bóg, żem poznał sługę Ponińskiego — opowiadał — dostaliśmy zadatku na rękę po pięć czerwonych złotych, a w nocy zaraz popłynąć mamy. To i chyba się coś kluje i ten licho ucieknie. Ale co nam do tego, skoro hojnie płaci. Rzecz warty, pilnować go dobrze.

Poniński, wymknąwszy się przez otwór, wyszedł zcicha z pałacu, gdzie syn jego, nieco dalej w ulicy, z powozem czekał. Wsiadł doń, syn naprzeciw niego, a obok Kukumus, faworyt wielki i rządca domu, który podobno całą tę ucieczkę obmyślił. Przejechali most na Pragę, mimo wart wszystkich, zastali zamówioną krypę, wsiedli do niej i popłynęli.

Nazajutrz zrana, gdy wieść o ucieczce Ponińskiego hyżo całą obiegła Warszawę, opowiadały sobie o niej i kumoszki na Mostowej ulicy, bo sprawy jego zanadto głośne i znane były.

Pani Cynglewiczowa, żona majstra szewca z Piwnej ulicy, nadeszła także za kupnem rybek, a że z natury rozmowną była, więc i zaraz o tej całej awanturze rozprawiać poczęła.

— Uciekł, uciekł urwipołeć zdradziecki! I niechże go wszyscy wciurnascy!... zaklęła — bo urodny, prześliczny kapitan Napiórkowski życie teraz za niego położy. Ledwo serce nie pęknie.

— Życiem przypłaci? — pytała jedna z przysłuchujących się kobiecin i ręce załamała.

— A jużci!.. Jutro, jutro rozstrzelać go mają! — jękła pani Cynglewiczowa — dwudziestu czterech wypali do niego... O Jezu mój przenajświętszy!

— Rozstrzelają go!

— Dwudziestu czterech!

— Taki śliczny oficer!

— Młodziutki!

— Gdyby jagoda!

— Istny kwiatek! A taki dobry!

— Dobry, gdyby anioł! Syn siostry mojej jest ordynansem przy nim...

— O mój Jezu! Mój Jezu!

— O Matko przenajświętsza!

I wszystkie rozpłakały się kobiety.

— A jeszcze ma on, mój Jezu najsłodszy! — Cynglewiczowa złożyła dłonie — ma panienkę zaręczoną sobie, różyczkę, lilijkę... Mąż mój, ot, robi jej trzewiczki, a wiemy o tem od panny służącej, Agatki Kokaczkiewiczównej. Kochają się, gdyby dwa gołąbki... a jutro, oj, dwadzieścia cztery kulek! — zaszlochała poczciwa — Jezu, Jezu, zmiłuj się, Matko najświętsza! Panienka, istny aniołek, tego nie przeżyje! Córka jedynaczka!... pieszczochna matuni... Nózię ma tylusią! — pokazała na palcach — spiewa, gdyby słowiczek, jasna jak gwiazdeczka... i tak się kochają!

Wkoło rozległo się szlochanie.

— Dwadzieścia cztery kulek!... O pies, zdrajca! Żeby go jeno dostali znowu.

— Trudne to, trudne rzeczy! — ozwała się Łukaszowa, żona przewoźnika, pokręcając głową.

— Co tam! taka nagroda to i tysiące ludzi pokusi! — zawołała majstrowa i machnęła ręką.

— Jaka nagroda? — zapytała Łukaszowa, i aż jej tchu niby nie stało.

— A tysiąc czerwieńców naznaczył hetman Ogiński, przecie obwoływali wszędzie.

— Tysiąc... czerwonych... złotych — powtórzyła żona przewoźnika i pobladła jak mara.

Kobieciny gadały, płakały, nadeszło ich więcej jeszcze, bo co żyło w Warszawie, wszystko zajmowało się Ponińskiego ucieczką.

Tymczasem wymknęła się Łukaszowa nieznacznie, wbiegła do domostwa swojego, wrzuciła na siebie co ducha świąteczne suknie i pobiegła do miasta. Zapytała, gdzie mieszka wielki hetman litewski, Ogiński. Śmiało do pałacu weszła... a w chwili potem hetman już wiedział, dokąd zbiegły udał się aresztant.

Łukaszowa otrzymała za doniesienie czterdzieści dukatów i szczęśliwa do domu wróciła.

Nakazano natychmiast pogoń za Ponińskim, i kapitan Rudnicki wyprosił sobie wykonanie tejże. Hetman zgodził

się na to od razu, bo Rudnicki posiadał ogólny szacunek i zaufanie najwyższe. Dano mu zatem rozkaz do wszystkich komend wojskowych, do wszystkich zwierzchności cywilnych, jako też do obywateli ziemskich, by mu wszędzie żądanej udzielili pomocy. Wziął pocztę, kilku zaufanych ludzi, i szybko ku Toruniowi popędził.

VI.

Po mszy ś. u x. x. Reformatów przy ulicy Senatorskiej wyszła nazajutrz z kościoła pani podkomorzyna z córką. Bledziuchna Zofia, bolem złamana, wspierała się na ręku matki, która całem sercem kochającem srogą boleść biednego dzieliła dziewczęcia.

Poranek był prześliczny, i matka ją namówiła, ażeby przez ogród Saski przeszły dla odetchnienia świeżem powietrzem.

Na nieszczęście, wchodząc do ogrodu, spotkały szambelanica, a stary fircyk zaraz przyczepił się do nich.

— Mais comment? — zawołał — prześliczna róża nasza dziś jakoś pobladła trochę? — pokłonił się Zofii.

— Ma ból głowy, i wyprowadziłam ją umyślnie na powietrze — odrzekła podkomorzyna.

— I z tą bladością wygląda delicieuse, delicieuse! Czarująco! au suprême!

Panie w milczeniu szły dalej, by pozbyć się natręta, a strojniś szastał się przy nich, zatruwając świeżą woń poranka jakimś mocnem, nieznośnem pachnidłem. Trzepał przez chwilę jeszcze monstrualne komplementa, a potem zaczął:

— Eh bien, i kapitan Rudnicki pogonił za marszałkiem...

— Był wczoraj u nas na momencik przed wyjazdem — odrzekla matka Zofii.

— Po co też ofiarował się na takie zbirostwo! — ruszył fircyk ramionami.

— Po co? — podkomorzyna zmierzyła go wzrokiem.

— Excusez, madame, ale my sądzimy...

— Kapitan Rudnicki spełnia powinność dla Rzeczypospolitej, wobec której Poniński najstraszniejszą popełnił zdradę.

— Excusez, madame, to niechżeżby go kto inny chwytał.

— Kapitan Rudnicki może tego zręczniej dokona.

— At! Niechajby sobie zresztą i książę Adam szczęśliwie drapnął.

— Ażeby potem nowe płatał złości! — zapérzyła się podkomorzyna.

— A!! — fircyk machnął ręką, strojną w mankiet batystowy. — Kapitan Napiórkowski bo musiał pójść na służbę: c' etait de rigueur... ale go także nie zobowiązywało koniecznie, by tak pilnie bardzo strzegł aresztanta...

— Zobowiązywała go miłość ojczyzny i honor! — zawołała Zofia, a na jej lica palący wystąpił rumieniec.

— No, i spotkał go taki desastre.

— Zdradzono go! — wymówiła podkomorzyna z przyciskiem. — A wiadomo przecie, że był nakaz komisyi wojskowej, ażeby spiącemu Ponińskiemu częstem zaglądaniem do łóżka nie przeszkadzać, o co skarzył się poprzednio. Tego zaś wieczora udawał jeszcze i ból zęba...

— Każdy ratuje się, jak może, wielce mościwa pani podkomorzyno dobrodziejko. Ale biedny Napiórkowski, śliczny chłopak. Mais que faire? Piękności nasze żałobę przywdzieją...

— Żegnam pana szambelanica! — skinęła mu głową podkomorzyna, szybciej uprowadzając córkę.

Szambelanic pokłonił się. Postał przez chwilę w miejscu, nie wiedząc, coby sądzić miał o tem, że go pozbyto się tak nagle. Popatrzył za odchodzącemi, potem pozłacaną machnął laseczką, zawrócił i ku królewskiej ulicy pobiegł.

— Och, matuchno! — jękła Zosia, gdy oddalały się od niego.

— Spokoju, dziecko, i ufności w Bogu! — odrzekła matka. — Wiesz, co mi jenerał powiedział: że nieskażony honor młodego oficera, prawe jego uczucia i waleczność, na wszelkie uwzględnienie zasługują.

— Lecz sąd wojenny... ma swoję uchwałę... przepisy, od których odstąpić nie może — poszepnęło dziewczę i więcej jeszcze pobladło. Biedaczka nawet już i płakać nie mogła.

— Miej wiarę w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże! — pocieszała matka — i oddaj siebie z żalem swoim i smutkiem w opiekę przenajświętszej Pannie.

Gdy powróciły do domu, zastały tamże majstra szewca, Cynglewicza, który panience śliczne z niebieskiego atłasu przyniósł trzewiczki. Smutno odpowiedziała na szczéry pokłon majstra, spojrzała na trzewiczki, i odwróciła się smutniejsza jeszcze.

Matka tymczasem za wybornie wykonaną zapłaciła mu robotę.

Cynglewicz pokłonił się, zakręcił sumiastego wąsa, wyprostował się i wyrzekł:

— Jaśnie wielmożne panie! Wielką nam wszystkim jest żałość, że waleczny kapitan Napiórkowski cierpiéć teraz musi za ucieczkę onego zdrajcy. Kobiety nasze zakupiły dzisiaj mszę ś. na intencyą, ażeby stała się sprawiedliwość, a pociecha dla jegomość pana kapitana z łaski Bożej spłynęła, jak na to prawdziwy syn Rzeczypospolitej zasługuje.

— Bóg dobry niechaj wam płaci! — wymówiła podkomorzyna rozrzewniona, ściskając dłoń jego spracowaną

oburącz — niechaj wam opatrzność te poczciwe nagrodzi uczucia!

Och, bo zaprawdę lud warszawski zawsze był poczciwym, jest nim i będzie! Kraj kocha podniośle, zna miłość bratnią, i poświęcać się umie. Warszawa sercem polskiego jest kraju, tętnem, które nadaje życie — miłość, nadzieję i wiarę.

Majster Cynglewicz wyszedł z mieszkania podkomorzyny ze łzą na posiwiałej źrenicy, szepcząc sobie półgłośno:

Oj źle! źle w Rzeczypospolitej, skoro anioły cierpią, rycerzy naszych męczą, kapłanów świętych poniewierają! Czyli to już świat ma zginąć?... Przystanął na schodach, podumał, potrząsł szpakowatą czupryną, i raźniej dodał znowu: Oj nie! Bóg nas nie opuści i przenajświętsza Panna częstochowska!.. Ojciec niebieski doświadcza tylko, ot... i będzie lepiej! W imię Ojca — przeżegnał się pobożnie i z rozjaśnionem obliczem poszedł do kolegi, majstra Dratwińskiego, by z nim, jako z wielkim patryotą, przy szklaneczce miodu pragskiego nagadać się do woli.

— Jacyż to ludzie poczciwi, matuchno maja! — wymówiła Zofia po wyjściu jego, składając dłonie, — bodaj gdzie są równie poczciwi. To też naród miłujący tak gorąco ojczyznę i braci, skory do ofiar, a pobożny, oddany Ojcu w niebie i Matce najświętszej, lud taki, matuchno droga, musi miłym być Bogu. A jeżeli go spotykają niedole srogie i klęski rozliczne, to potem Bóg dobry nagrodzi wszystko... Ach! — jękła nagle bolesną zakrwawiona pamięcią — ale ofiary! ofiary!... całopalenia na ołtarzu ojczyzny!.. śmiertelną zadrzała trwogą. — Może ofiary są potrzebne... poszepnęła na wpół omdlała i w objęcie matki upadła.

VII.

Tymczasem krypa z Ponińskim, synem jego, Kukumusem i kilku służalcami dopływała do Torunia, a gdy były marszałek nieszczęsnego sejmu zdaleka wieże miasta zobaczył, szczególny ogarnął go apetyt na pierniki toruńskie i wódkę gdańską. Zwłaszcza też na wspomnienie tej ostatniej aż schnęło mu gardło, że i miru sobie dać nie mógł.

Dziwne to niekiedy drogi opatrzności bywają!

— Nie wytrzymam — powtarzał — cała moja natura tego pragnie posiłku — boć i pijak z niego był podobno nielada. — Przecież jesteśmy bezpieczni, nikt za nami nie goni.

Kazał zatem przybić do brzegu. Wysiadł, z nim syn jego i laufer, faworyt. Poczem krypa odpłynęła nieco, by czekać na nich w krzewinie ukryta pobrzeżnej.

Opodal stała jakaś chata. Do tej schronili się obadwaj, a laufer pospieszył do miasta po pierniki i wódkę.

W tejże porze nadjechał kapitan Rudnicki z ludźmi i z towarzyszem, kolegą, stojącym na kresach, którego sobie w drodze był przybrał. Pędząc ku miastu, spostrzegł czającego się człowieka, który zobaczywszy ich nagle z drogi zeszedł, i trafną domyślnością wiedziony przystanąć kazał. Wyskoczył z powozu i ludzi swoich za sobą powołał. Poznał niebawem w uchodzącym sługę Ponińskiego, dopadł go, przytrzymał i zapytał:

— A ty tu co robisz?

Laufer się zmieszał i aż posiniał.

— Powiedz, gdzie jest pan twój, bo inaczej w łeb ci palnę, jak psu! — krzyknął Rudnicki, chwytając go za kołnierz.

— Pana tu zostawiłem... nie wiem, gdzie poszedł... dawna już chwila — wykręcał się sługus.

— Nie kłam, nie matacz!

— Pewnikien już odpłynął... i jest ztąd, Bóg wie, jak daleko...

— A cóż to niesiesz?

— Wódkę i pierniki! — Zaśmiał się towarzysz Rudnickiego.

— Wódka, pierniki! Zapewne dla niego!

— Ej nie, jaśnie wielmożny kapitanie... widzi Bóg... to oj, nie dla pana — jąkał się laufer znowu.

— Hej, chłopaki, chodźcieno tu! — zawołał kapitan na chłopców, pasących bydło opodal.

Chłopcy przybiegli.

— Czy nie widzieliście tu panów jakich? Dostaniecie bitego talara, jeżeli powiecie, gdzie poszli — pokazał im srebrny pieniądz, który w palcach trzymał.

— Jaśnie wielmożny oficerze, tam oj są, w tej chałupie nad rzeką! — chłopcy jednozgodnie odpowiedzieli, wskazując chatę, i wielce uradowani otrzymali talara.

Rudnicki laufra przytrzymać kazał, a sam z towarzyszem i z dwoma ludźmi do chałupy pospieszył.

Poniński z synem, wyczekujący powrotu laufra z wódką i piernikiem, przede drzwiami stali. Kapitan wpadł na nich z boku, z nienacka, z dobytą szablą, a towarzysz z pistoletem, i od razu zalęknionych ujęli. Wedle wyższego rozkazu, udzielonego kapitanowi, ludzie jego włożyli im zaraz kajdanki. Niebawem zamówiony, przynależny nadciągnął konwój, i Rudnicki aresztantów do Warszawy wyprawił.

Nieco poźniej krypa z ludźmi Ponińskiego zwolna w umówione nadpłynęła miejsce. Spostrzegł ją strażnik stojący nad Wisłą, i chcąc się przekonać, kogo wiezie, ile że o ściganiu Ponińskiego wiedział, krzyknął na łódź, by zawinęła do brzegu. Lecz na to będący na krypie szybciej poczęli wiosłować i wartko ku Nieszawie mknęli. Ta wyraźna ucieczka ostatecznie podejrzenie budziła. Strażnik przeto do Nieszawy pospieszył, i powiadomił o tem tamtejszą komendę. Ludzie bez zwłoki dopadli koni, pogonili i zaskoczyli krypie drogę na wąskim przesmyku,

który przepłynąć miała. Wołali znowu, by dobiła do brzegu, gdy z krypy ognia dano i dwóch postrzelono szeregowych.

Na to komendant ludziom swoim wypalić kazał i zagroził, że łódź wystrzałami na dno rzeki pogrąży. Przerażeni przewoźnicy, mimo zakazu Kukumusa, pospiesznie zawinęli do brzegu, i cała służba Ponińskiego schwytaną została.

VIII.

Przybywszy do Warszawy, Rudnicki nasamprzód wpadł do podkomorzyny i oznajmił paniom o szczęśliwie dokonanem dziele. Szlachetne rysy jego promienny miały wyraz.

— Chwała Bogu! Chwała Bogu! — wymówiła podkomorzyna, składając dłonie.

Zofia stała niema, nieruchoma, blada, zaledwo odetchnąć zdolna.

— Miej pani najlepszą nadzieję... siostro! — poszepnął jej Stanisław głosem tak miękkim, że aż w głąb jej duszy targnął.

Poczem matkę jej pożegnał i pospiesznie ku drzwiom zawrócił.

— Dokądże, dokąd? — pytała podkomorzyna.

— Do prezesa komisyi wojskowej, hetmana Ogińskiego... i do Jerzego — odrzekł i wybiegł szybko.

Hetman wielko-koronny litewski przyjął go nader uprzejmie, i ofiarował mu one zapowiedziane tysiąc czerwonych złotych nagrody.

Ale Rudnicki przyjąć ich nie chciał, i prosił tylko, jako o wielką, jedyną łaskę, by kolega jego, kapitan Napiórkowski, i żołnierze, z pod straży których Poniński uszedł, uwolnieni zostali.

Hetman mu odrzekł, że prośbę jego pod rozwagę komisyi wojskowej odda.

W mieszkaniu podkomorzyny trwała cisza, jakby martwa. Biedne kobiety nie śmiały nawet oknem na ulicę wyjrzeć, a drzwi na balkon stały przez te dni smutku i żałoby przymknięte ciągle.

Upłynęły dwie godziny w gorączkowem oczekiwaniu i niepokoju śmiertelnym, gdy wreszcie posłyszały szybkie drzwi stuknięcie w przedpokoju i lekki brzęk pałasza. Porwały się obydwie, stanęły pobladłe i ujęły się za ręce, jak gdyby jedna u drugiej siły i odwagi szukała.

Wszedł Rudnicki sam, i spojrzeć na niego nie śmiały. Córka padła w objęcie matki.

— Przynoszę pomyślność, szczęście! — zawołał. — Spojrzyjcie panie na mnie! — Twarz jego pogodną łuną wewnętrznego zadowolenia jaśniała.

— Pomyślność... szczęście — powtórzyła matka.

Zofia w jej objęciu głośnym wybuchnęła płaczem.

— Panno Zofio! — Stanisław ujął jej rękę — brat przyrzeczenia dotrzymał... brat, przyjaciel: Jerzy Napiórkowski jest wolny!

Popchnięto drzwi od przedpokoju.

— I u stóp twoich, aniele! — zawołał Jerzy, przykląkł i kraj jej sukni do ust przycisnął.—A zbawcą naszym jest szlachetny Staś Rudnicki!

— O mój bracie!.. bracie! wdzięczność bez granic! — Zofia obydwie ku niemu wyciągnęła ręce.

— Boże, dziękuję ci za tę chwilę nieporównanie błogiego szczęścia! — zawołał Rudnicki z uniesieniem.

— A chwile takie tylko dusz szlachetnych bywają udziałem! — wyrzekła podkomorzyna ze łzą rozrzewnienia.

Zostawiając szczęśliwych z sobą, Rudnicki wysunął się niezadługo cichaczem, odurzony, upojony, ale i złamany poniekąd, i w swojem zamknął się mieszkaniu. Przez dwa dni, zameldowany jako chory, nie przyjmował nikogo, nie widział się z nikim. Jerzy chciał gwałtem wedrzeć się do niego, lecz prosić kazał, by go samego zostawił, bo mu wypoczynek jest potrzebnym.

Na dzień trzeci połączył się z kolegami, był niby bledszym niż zwykle, ale pogodnego wejrzenia.

Wieczorem obchodzono u pani podkomorzyny uroczyście zaręczyny młodej pary, bo matka Jerzego dnia poprzedniego zjechała do Warszawy, by syna o rękę panny podkomorzanki Zofii oświadczyć.

Kapitan Rudnicki był wesoł. Uściskał serdecznie przyjaciela, ucałował rączki Zofii, i klęcząc wniósł pierwszy zdrowie zaręczonych.

KONIEC.

Z wieczornych pieśni

Witosława Halka. *)

I.

Wzrok twój, to głębia jeziora...
Gdy padną nocne zacisze,
A na niej gwiazdek z wieczora
Drżący się promyk kołysze.

I wszystko w szybie najgładszej
Aż do dna widać przez tonie;
Lecz kto się w głąb jej zapatrzy,
Tego jej urok pochłonie.

II.

Jak skała głucha i pusta,
Bez czucia byłem i mowy;
Aż czar nieznany i nowy
Przez twoje przeszedł w me usta.

Podobnie deszczyk wśród suszy
Odżywia kwiaty na łące:
O! czuję pieśni tysiące,
Które się rodzą w mej duszy.

III.

Gdym przestrzeń nieobjętą
Z gwiazd złotych badał kołem,
Widziałem ciebie świętą,
A siebie zaś aniołem.

O struny arfy wspięte
Zagrzmiałem pieśń dla ciebie,
Aż zmilkły pienia święte
Na ziemi i na niebie.

A Bóg na głos pieśniarzy
Uciszył szum w naturze;
I zda się w jego twarzy
Dwie łzy widziałem duże.

IV.

Jestem jak lipa wspaniała,
Co lśni w świątecznem odzieniu.
Tyś różę z krasy obrała...
O pójdź, odpocznij w mym cieniu.

Tu wonią każdy liść dyszy,
Pszczół złotych szemrzą tu roje...
Tu ptaszki w nocnej śnią ciszy,
Ptaszki — to myśli są moje.

Ty odlatujesz spłoszona,
W trwodze naiwnej, dziecięcej;
Lecz pójdź raz w moje ramiona,
A nie odlecisz już więcej.

Władysław Bełza.

---

*) Witosław Halek, w rzędzie współczesnych poetów czeskich jako liryk zajmuje pierwszorzędne miejsce. Jego „Wieczorne pieśni" w przeciągu lat kilku doczekały się trzech wydań, a obecnie wyszły w przekładzie niemieckim.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w grudniu 1872.

(Świeże mogiły. — Obchód rocznicy 28. listopada. — Ruch muzyczny. — Teatr. — Wystawa światowa przypomina się naszym wystawcom. — Towarzystwa techniczne i pracownicze. — Dar księdza Bażyńskiego w Poznaniu i konkurs wydawnictwa książek tanich a pożytecznych. — Nowości księgarskie.)

WINCENTY POL

zmarł dnia 2. grudnia b. r. w Krakowie. Spiewak pieśni „O Ziemi naszej" i „Janusza" znalazł pokój wieczysty w tej drogiej ziemi i wśród pokolenia, dorastającego pieśnią Januszową. Pożegnał w Nim naród wieszcza swego i żołnierza, wiedza i cywilizacya dzielnego pracownika. W miejscu właściwszem czytelnik znajdzie wiadomość obszerniejszą o życiu i zasługach zmarłego poety, tudzież o działalności i wpływie geniuszu Jego na naród; nam tylko złożyć tu cześć Jego nieśmiertelnej pamięci.

Bolesne wypadki nigdy prawie nie zdarzają się odosobnione, przedzielone dłuższemi odstępami czasu, lecz rzucają się na serce naraz, ze wszystkich stron, jak czynniki katastrofy w tragedyi po przesileniu się szczęścia bohatera. Ileż to w roku bieżącym mieliśmy serdecznej żałoby! Moniuszko, Narzymski, Pol, i tylu innych zasłużonych i drogich w przeciągu kilku miesięcy opuścili nas, a któż ich zastąpi? Do rzędu takich to strat przybyła w ostatnich dniach jeszcze jedna; na dniu 17. b. m. zmarł w Miłosławiu, w Poznańskiem, Seweryn hr. Mielżyński, jeden z najznakomitszych patryotów i obywateli wielkopolskich, weteran z r. 1831, a następnie więzień stanu. Żebyż przynajmniej życie u nas było tak niestrudzonem, jak śmierć, i wypełniało przerzedzany ciągle zastęp naszej potęgi duchowej!

* *
*

Młodzież nasza, czcząc 28. listopada rocznicę śmierci Mickiewicza a zarazem wigilią Saturnina, złożyła dowód poczucia się w długu, ciężącym na niej w obec przeszłości, i w zadaniu, jakie spełnić ma dla przyszłych czasów.

Obchód odbył się z godnością i podniosłością, właściwą młodym sercom i umysłom; odczyt, muzyka i deklamacya stanowiły program wieczoru. Nic bo zaprawdę tak wysoko nastroić nie może duszy młodzieńczej, jak wspomnienie objawienia się narodowego ideału w pieśni i w czynie, a które to wspomnienia w pamiątkowym dniu owym tak harmonijnie się łączą.

Ostatnie dni listopada i większa część bieżącego miesiąca były obfite nadzwyczaj w przedmiot do kroniki artystycznej. Miłośnicy muzyki zwłaszcza mieli w tym czasie wiele sposobności dogodzenia swemu zamiłowaniu, dzień po dniu bowiem to znakomity pianista Bülow, to znakomity skrzypek Wilhelmi i Taborowski lub wiolonczelista Feri, to wreszcie sławni operzyści włoscy pociągali ich na swoje produkcye. I piękne to były produkcye, jakkolwiek z drugiej strony publiczność nasza, nadto może skora do podziwiania domniemanych nadzwyczajności muzycznych w cudzoziemcach, odniosła z nich to przekonanie, że ani fortepianiści nasi „domowi" nie ustępują wcale Bülowowi, ani skrzypkowie p. Wilhelmiemu, ani operzyści państwu Artot-Padilla i t. p. Doświadczenie to wyjdzie z pewnością na korzyść naszych artystów.

Do najprzyjemniejszych wieczorów, jakie w tym czasie przepędziliśmy w teatrze, zaliczamy benefis panny Deryng, Szillerowską „Dziewicę Orleańską." Przedstawienie tej ładnej sztuki powiodło się stosunkowo dobrze, a benefisantka w roli tytułowej zebrała hojne i zasłużone oklaski. Panna Deryng przy pięknym talencie swym i pracowitości, jaką za wzór stawilibyśmy wszystkim młodym aktorom, ma przed sobą niepospolitą przyszłość. Role jednak, jak właśnie bohaterki przytoczonej tragedyi Szillera, mniej podobno przypadają do jej nastroju i warunków scenicznych; mniemamy, że mniej koturnowe postacie znaleźć mogą w pannie Deryng skończony swój wyraz. — Na dzień 27. b. m. zapowiedziany mamy „Sen nocy letniej" Szekspira, jako benefis pana Podwyszyńskiego. Szekspir nareszcie uzyskał zupełne prawo obywatelstwa na scenie lwowskiej i wcale, jak to twierdziła dyrekcya poprzednia, „przestarzałym" nie wydał się publiczności tutejszej; owszem, jak każdą dojrzałą publiczność tak i lwowską podbił i zniewolił sobie zupełnie ten arcymistrz sceny odrazu. Objaw to nader pocieszający, gdyż ta tylko scena, zdaniem naszem, spełnić jest zdolną swe wysokie zadanie, co za podstawę artystyczną i moralną przyjmie utwory Szekspirowskie, tę nieprześcignioną „księgę życia".

Co się dzieje w pracowniach naszych panów malarzy i rzeźbiarzy? Wystawa wiedeńska już, już za drzwiami... pamiętajmyż o tem, by to, co o duchu naszym świadczyć ma wpośród płodów myśli i dłoni całej myślącej i pracującej ludzkości, odbiło godnie polskie swe cechy. Zwłaszcza też panowie przemysłowcy i rękodzielnicy nasi pamiętać powinni, oprócz artystów, o wysłaniu wyrobów swych na wystawę światową; żywimy bowiem przekonanie, że w niejednem odnieść tam będą mogli zaszczytne uznanie. Za przykład i zachętę w tym kierunku niech im posłuży świeży fakt odznaczenia na wystawie Karynckiej wyrobów szewskich pana Stanisława Sierocińskiego ze Lwowa, którą to firmę zresztą po raz już trzeci spotyka takie zaszczytne odznaczenie.

Towarzystwo nasze techniczne od dnia 6 b. m. zbiera się co piątku w sali ratuszowej, rozbierając jak dawniej bardzo zajmujące i pożyteczne kwestye fachowe. Równie czynnem jest Towarzystwo prawnicze, pracujące sekcyami. Sekcya admi-

nistracyjna mianowicie zajmuje się bardzo gorliwie najżywotniejszemi kwestyami bieżącemi swego zakresu.

Ksiądz Franciszek Bażyński, proboszcz przy kościele świętego Wojciecha w Poznaniu i prezes wydawnictwa tanich a pożytecznych książek, znany przyjaciel ludu, od lat wielu w Poznańskiem działający z całą gorliwością obywatelską na tem polu, ogłasza świeżo, że wydawnictwo wspomniane trzy tysiące książek zdatnych do użytku mieszczan, kmieci i młodzieży stanu każdego, ofiaruje ludowi polskiemu bezpłatnie przy nadchodzącej kolendzie. Po książki te zgłosić się mogą mieszkańcy wszystkich ziem dawnej Polski, dalej koloniści i wychodźcy nasi, dokądkolwiek ich własna wola lub niewola zaniosły. W razie wyboru pierwszeństwo mieć będą: 1. Osoby, które wydawnictwo owe stale wspierają, a chciałyby, zakres działania swojego rozszerzając, zrobić jeszcze więcej dobrego niż dotąd. 2. Miejscowości, gdzie dotąd żadnej jeszcze nie ma czytelni, a zwłaszcza te, które skutkiem obecnego położenia pozbawione są pomocy i opieki polskich duchownych i polskiego obywatelstwa wiejskiego. 3. Czytelnie zostające pod ciągłym dozorem rządcy parafii. 4. W ogóle wszystkie osoby, o których nabrać będzie można tego przekonania, że liczbę przesłanych sobie książeczek dalszemi zkądinąd nabytkami dla wygody i dobra współbraci pomnażać będą. Zgłaszać się należy do ofiarodawcy po dzień 1. lutego 1873 r. Toż samo wydawnictwo rozpisuje konkurs na następujące prace literackie: 1. O prawach i obowiązkach człowieka, ze szczególnem uwzględnieniem położenia ludności w. ks. Poznańskiego, Prus Zachodnich i Szlązka pruskiego. Nagroda 900 złp. 2. Astronomia popularna, z uwzględnieniem kalendarza, zegarów, kompasów, itp. Nagroda 600 złp. 3. Żywot jakiego świętego, jużto polskiego, jużto u ludu naszego szczególnej czci doznającego. Nagroda 300 złp. 4. Powieść dla ludu, osnuta na tle historycznem lub społeczno-obyczajowem; pierwszy rodzaj będzie miał pierwszeństwo. Nagroda W. Konstantego Zakrzewskiego, 300 złp. Termin ostatni wręczenia tych prac dzień 1. października 1873 roku. Nazwiska w kopertach. Bliższych warunków dowiedzieć się można u prezesa wydawnictwa tanich i pożytecznych książek w Poznaniu.

Więcejby nam takich zacnych księży i wydawnictw takich.

Z zbliżającym się nowym rokiem prawdopodobnie usłyszymy coś o nowych czasopismach, ile że wiele animuszu po temu znajdzie między tutejszymi panami literatami, niezrażającymi się widać żadnemi przeciwnościami, ani takiemi przykładami, jakie świeżo mieliśmy z „Świtu“ i „Promyka.“ Życzymy im też najlepszego powodzenia, byle rzecz z góry oparta była na warunkach powodzenia, więc zasobna zarówno w siły intellektualne jak i parę lub kilkanaście tysiączek, bo tylko taka forsa zmierzyć się zdolna z panującą w tym kierunku apatyą powszechną. Podobno i nowe pismo polityczne przybędzie nam z nowym rokiem, ale o tem jeszcze bardzo głucho; na razie tylko „Dziennik Polski“ zwiększył znacznie swój format, przeniósłszy się do własnej drukarni. Żebyż i treść i kierunek spoważniały stosownie do formatu!

Wyszedł świeży tomik, trzydziesty i któryś z rzędu Biblioteczki „Mrówki“, zawierający prześliczny poemat Słowackiego, „Anhellego“. W księgarni też spotkaliśmy kilka książek najnowszej daty, mianowicie: „Szkolnictwo ludowe w Anglii, przez Włydysława Fedorowicza, Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta“; „Zasady Hugona Grocyusza o prawie interwencyi ze stanowiska dzisiejszej nauki filozoficznego i pozytywnego prawa narodów, skreślił dr. Franciszek Kasperek, docent filozofii prawa, Kraków, nakładem autora;“ „Krzemieniec, przygody i wspomnienia studenta pierwszej klasy, przez Walentego Spektatora, Kraków, nakładem księgarni Nowoleckiego“; dalej „Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier, opracował dr. Franciszek Czerny, Kraków, nakładem autora;“ i przekład z Wiktora Hugo rozprawy p. t. „Geniusze i ludy“, nakładem Czarnowskiego w Warszawie. Wyszedł też I. tom zupełnego wydania pism naszego drogiego, sympatycznego Kazimierza z Korolówki, wydania, dokonywanego staraniem Kraszewskiego i pod kierunkiem tegoż przejrzanego i dopełnionego z nieogłoszonych jeszcze rękopismów. Czyż jest książka, któraby na rozpowszechnienie między młodzieżą zwłaszcza zasługiwała w tym stopniu, jak pisma Brodzińskiego?

B. K.

Drezno w grudniu 1872.

(Sprostowanie plotki co do krakowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. — Uzupełnienie obrazu dziennikarstwa polskiego. — Akademia krakowska. — Ostatni poemat W. Pola. — Ruch literacki i naukowy. — Wspomnienia przedstuletnie. — Przestroga Staszica. — Artyści polscy w Dreźnie.)

Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że owę groźną plotkę, o której wspomnieliśmy w liście z Wenecyi, dziś jako bałamutny wymysł chorobliwego jakiegoś, zgryźliwego krakowskiego hypokondryka odwołać możemy: Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych świetnie się rozwija, a z listu, który przewodniczący mu do redakcyi Strzechy nadesłał, widać, że swe zadanie pojmując dobrze, nie lęka się wcale współzawodnictwa. Najlepszym dowodem powodzenia są cyfry, wielce wymowne. W r. 1870 dochód wynosił 12.929, w 1872, aż 16.174... Cieszy nas to nieskończenie, i spodziewamy się, że czytelników naszych nie mniej rozraduje. Na ziemiach polskich, stare i szczęśliwie rozwinięte Towarzystwo krakowskie, gościnne dla artystów, jest jedynym przytułkiem dla prac ich i wielką dźwignią artystycznego rozwoju. Nie chcielibyśmy warszawskiemu ujmować, ale tam, jak po troszę wszędzie, ludzie się tak za ręce trzymają, że obcemu a mniej znanemu, choćby z najlepszą przyszedł rzeczą, przystęp trudny. W Poznaniu nie ma sztuk, ani przyjaciół, ani towarzystwa; jest to dziś plac boju, a we wrzawie wojennej trudno o obrazkach myśleć; we Lwowie początkujące stowarzyszenie szczupłemi dotąd rozporządza środkami. Kraków bądź co bądź przoduje w tej sprawie; należy mu się ta sprawiedliwość, i chętnie ją oddajemy. Zdaje mi się, że w ten sposób owę plotkę odtrąciwszy na bory i lasy, w sumieniu możemy być spokojni... Ale bodaj czy jeszcze poprawek do ostatnich listów nie będziemy musieli dodać i w innych przedmiotach. Mówiąc o pismach peryodycznych, wiele się ich pominęło lub mimowolnie

opuściło. Starym szczególniej wojownikom, co na kresach z jakąkolwiek walczą bronią, należy uznanie. Zapomnieliśmy o kilku... Kłosy z olbrzymiejącem wydawnictwem swem, które dziś obejmuje: Kłosy katexochen, Tygodnik powieści, Wieniec, przekształcający się na pismo naukowo-literackie, dzieła Korzeniowskiego, Encyklopedyą Orgelbrandów (przyłączoną do nich), naostatek Bibliotekę przekładów arcydzieł obcej literatury, w arcydziełach tłumaczeń (!), zasługują na szczególne wspomnienie. Takiego przedsiębiorstwa nie mieliśmy jeszcze, a że się ono wspierać musi na, ekonomicznie zwanych, odbiorcach, i jest znakiem zwiększającego się koła czytelników, pociecha wielka! Tygodnik illustrowany, który ma w swem towarzystwie nieznajomego nam z oblicza Wędrowca, drugą Encyklopedyą, illustrowane pisma Wilkońskiego itd., daje swoim prenumeratorom loteryą, w której wygrać mogą 150 tomów rozmaitych dzieł. Oby tedy dwaj ci zapaśnicy jak najdłużej z sobą walczyć mogli. Z galicyjskich pism winniśmy przypomnieć Dziennik polski, który w milczeniu format powiększył i redakcyą swą uzupełnił... a naostatek wytrwalego, poczciwego Diabła, który dalipan żyje... Byliśmy o niego w strachu. Saska poczta tutejsza, która ma chwalebny zwyczaj wszystkich pism polskich pozbywać się w ten sposób, że je z kolei narzuca jednemu z mieszkających tu Polaków, niby omyłką Diabła mojego przez kilka tygodni gdzieś tak umiejętnie schowała, że nic go nie było widać. Powitaliśmy ostatni numer starego, poczciwego robotnika z widlami, czyszczącego stajnie Augiaszowe, z prawdziwą przyjemnością. Przyniósł on nam znaną fizys czcigodnego Majera, ogłaszającego urbi et orbi, Akademią krakowską... Majer taki podobny, że się go chce za rękę ścisnąć; Szujski nie tyle... Do akademii tłum się ciśnie. Majer zaręcza, że dla wszystkich dość będzie miejsca; ale pocóż się znowu tak tłoczyć? Panowie kandydaci do krzeseł, wierzcie mi, dostojność akademicka nie doda wam blasku ni zasługi, jeśliście ich nie zdobyli wprzódy pracą — a — dobrze jest to powtórzyć, nieraz akademie żałowały, że nie miały w swem gronie zasługi; zasłudze nigdy tytuł członka nic nie dodał. Akademia szczególnie młodsze siły powołać powinna, aby nie została domem inwalidów i ulaurowaną synekurą; nie odpowiadałaby zadaniu swojemu... Akademia powinna być surową i w żadne dworowania się nie wdawać, żadnemu nie służyć stronnictwu... Jej zadanie poważne, wielkie i surowe... Mój Boże! nim się otwarła owa instytucya, już jednę ze swych ozdób straciła. Pol zgasł nam w oczach, gdy po ostatnim poemacie wróżyliśmy mu długą i krzepką starość i wiele jeszcze pieśni tak pięknych jak ta, która się w tej chwili drukuje. Nie mogę się oprzeć, żebym wam z niej choć maleńkich nie dał próbek, choć to może być nadużyciem z mej strony. Przyjaciel nasz Żupański przebaczy nam tę winę.

Oto naprzód kilka wierszy z Przygrywki na trąbce łowieckiej, która poemat poprzedza:

I lasy gdzieś szumią... i puszcza się mroczy...
Lecz trąbki myśliwej nie chwyci już ucho,
I złai łowieckiej nie ujrzysz na oczy,
I pusto jak gdyby w pustyni i głucho...
A przecież tak samo trop znaczy zwierz wszelki,
I ptactwo wszelakie tak samo się wabi —
Tak samo się sklepi nad głową las wielki...
I łąka tak samo się w oczach jedwabi...
Tak samo się zorza myśliwska ozłaca —
I z cieplic tak samo to ptactwo powraca...
Tak samo jelenie czemchają te rogi,
I dziki tak samo zaległy barłogi. —
I niedźwiedź tak samo na owsy wychodzi,
Tak samo na sarny ukryty ryś godzi...
Tak samo przez bagna łoś jeszcze pomyka...
Tak samo wśród puszczy żubr stary poryka...
A kiedy śnieg spadnie i świat się ubieli,
A bory tam staną w srebrzystej kądzieli:
Tak samo zajączek mądruje po śniegu
I szuka gdzieś żeru i grzeje się w biegu,
By liszkę omylił i wilka i człeka...
I wszystko tak samo, jak działo się z wieka —
Tak samo i dzisiaj bez zmiany się dzieje:
Lecz tylko już łowów nie znają te knieje...

Pol jest niezrównanym malarzem w tym poemacie, w którym, jakby tęsknem przeczuciem wypowiedział, że to będzie pieśń jego ostatnia.

Tak powieść ostatnia niech do nich się niesie
I jeszcze przemówi o łowach i lesie.

Gdyśmy już poczęli grabić Żupańskiego, jeszcze mu odkradniem ten cudny obrazek nocy na łowach w Karpatach. Jest to małe arcydzieło:

Nad szumnym taborem noc głucha osiada.
I każdy jak kamień do ziemi przypada,
I tylko świerk gonny straż nocną tam trzyma,
I gwiazdy czuwają jasnemi oczyma;
I tylko tam jodła swojemi bisiory
Ocienia uroczo obydwa tabory,
I chyba koń parsknie przy nocnym obroku,
Lub psina zaskomli, gdy sfora ugniecie.
I słychać szmer wody w dalekim potoku,
I mgła się nareście bałwani po świecie...

Takich obrazów pełno w Staroście Kiślackim, którego już znaczna część jest wydrukowaną. Dodanym doń będzie zapewnie portret W. Pola z rysunku Grottgera, który się wyszukać p. Żupańskiemu udało. Obok tego poematu, który będzie stanowił najbardziej zajmującą nowość roku 1873, nic już mu równego postawić nie można, chociaż na różnych publikacyach nie zbywa, szczególniej z nauk przyrodniczych i historyi. Poważniejszych dzieł, a co lepiej, czytelników dla nich przybywa. Galicya pozostaje nieco w tyle od innych części Polski w zajęciu literaturą i przedsiębiorstwach literackich, ale i tu przyjdzie kolej na ruch i życie, tak tuszymy. Wszyscy się radujemy skutkiem waszych prac sejmowych i nadzieją, że staranie kraju o oświatę przyniesie owoce. Pamiętamy to, że Galicya po pierwszym rozbiorze Polski,

Galicya jedna tylko i jeden Lwów, dały dowód gorącego przywiązania do ojczyzny, i w dniu składania homagium postawą swą pierwsze narodową wdziały żałobę. Pamiętamy ów list Kickiego, starosty lwowskiego. Tam, gdzie miłość Polski nie zgasła, zapalą się od niej prędzej później pochodnie pracy i poświęcenia... Pamiętamy, ile współczucia we Lwowie znalazł po r. 1792 przebywający Kościuszko, którego z tego powodu aż austryacka policya wyprosić musiała ze stolicy Rusi. Kiedy już o przeszłości mowa, nie od rzeczy będzie może przytoczyć tu jeszcze jednę anegdotkę z owych czasów, którą Staszic zapisał w przestrogach dla Polski (337). „Gdy przemoc despotów (przepisujemy go dosłownie) rozszarpaniem Polski uwieczniła swoje nad rodem ludzkim gwałty, Józef II. cesarz, będąc we Lwowie, oglądał kościół X. X. Franciszkanów. P... mnichy, nadto prędko zapomniawszy, co Polsce winni, chcąc sobie przyłaskawić Niemców, usprawiedliwiają gwałt despotów. Na drzwiach świątyni prawdy kładą ten fałszywy napis: „Najdawniejsze tego klasztoru archiwum świadczy, że ten kościół był fundowany jeszcze przez Kolomana, króla Galicyi. Gdy znowu, za co niech będą dzięki Bogu, Galicya powróciła pod rząd swych prawych monarchów, p o b o ż n y (?) cesarz Józef II. najpierwszy swoją bytnością uszczęśliwił tę Bazylikę“.— W kilka lat potem, tenże cesarz, owych mnichów z tego klasztoru wypędził, a kościół w komedyalnią zamienił.“

Tak pisze Staszic; wy najlepiej na miejscu sprawdzić możecie, czy rzeczywiście coś podobnego się wydarzyło.

Drezno, najmniej ze wszystkich akademii kunsztów przyciągające uczniów ku sobie, gdyż jedna chyba tylko galerya tutejsza ma siłę atrakcyjną, liczy jednak obecnie kilku artystów polskich, którzy tu pracują.

Mamy tu p. Budkowskiego, członka akademii petersburgskiej, znanego już oddawna z pięknych swych portretów i kompozycyj i ze studyów w Karpatach, których ma pełne teki; mamy p. Ślendzińskiego, ucznia akademii moskiewskiej, utalentowanego młodego malarza, i z Poznańskiego p. Lipczyńskiego, który tu wykonywa zamówione obrazy religijne do kilku w Księztwie kościołów. Drezno może tylko wzorami, jakie posiada w zbiorach swoich, być pomocnem, z innych bowiem względów dla artystów nie tak jest dogodne jak Monachium. Brak tu i pracowni i modelów żywych i artystycznych przyborów i życia nawet artystycznego, a miejscowy światek niemieckich malarzy trzyma się kupą i nie zbyt jest dla obcych gościnnym, zwłaszcza, jeśli współzawodnictwem zagrozić mogą. Zapowiedzianą wystawa obrazu Matejki w Pradze, ściągnie tam pewnie i z Drezna wielu ciekawych, gdyż wątpimy, abyśmy tu Stefana Batorego oglądać mogli.

J. I. Kraszewski.

Ze świata.

(Adela Spitzeder). W Bawaryi popełnione zostało w najnowszym czasie oszustwo, jakich nie wiele naliczyć można od stworzenia świata, a poniekąd jest ono jedynem w swoim rodzaju.

Jakaś awanturnica, imieniem Spitzeder, była kapłanka Melpomeny, uzbierawszy przy pomocy pewnego prałata maleńki kapitalik, postanowiła zrobić z niego praktyczny użytek i założyła kantor pokątny, w którym wypożyczała pieniądze za tanie procenta. Klientela zbierała się dość liczna, i wkrótce zaczął kantor przyjmować pieniądze na wysokie procenta. Z początku szło trudno; nie ufano, wahano się. Powoli jednak, przy protekcyi prałata i kilku duchownych, znaleźli się drobni kapitaliści, którzy zaczęli umieszczać niewielkie kwoty u bankierki; a że odbierali 20 procent z góry, kapitały zaś w terminie najpunktualniej, wzmagała się ochota. Coraz więcej zbierało się ochotników łatwego zarobku, panna Spitzeder rosła w opinii Geldhabów, i kantorek zamienił się niebawem w kantor bankowy, funkcyonujący na wielką skalę. I jakżeż zresztą nie miała się podnosić instytucya, mająca tak święte podwaliny! Panna Spitzeder była wzorem pobożności, nosiła na piersiach wielki krzyż, modliła się bardzo gorąco po kościołach i zjednała sobie nazwę „pobożnej panienki“; jej stosunki z duchowieństwem i wszystkimi ultramontanami stawały się coraz serdeczniejsze i bliższe, pisma ultramontańskie wynosiły ją pod niebiosy: — jakżeż tu nie wierzyć? W krótkim też czasie doszło do tego, że panna Spitzeder zajmowała paradne apartamenta i potworzyła filie swojego banku, zwane ogólnie bankami dechauskiemi. Już krocie spływać zaczęły, już miliony się zbierały; więc rząd zażądał zaprotokołowania firmy. Powstała tedy firma bankowa, instytucya stała się formalną. Kapitały spływają, kapitaliści dopraszają się o ich przyjęcie, ultramontanie biorą otwarcie pod swoję moralną firmę bank Spitzederski, dzienniki nawołują na wsze strony. Lud więc ciśnie się, sprzedaje ziemie i inwentarze, wyzuwa się ze wszystkiego, bo u pobożnej panienki zarobek pewny a łatwy i duży. Ksiądz proboszcz do tego namawia, gazeciarz zachęca; jak tu nie wierzyć, kiedy płacą dobrze, kiedy wszyscy chwalą, błogosławią ks. prałata i pobożną panienkę? Toć księża biskupi ją odwiedzają; panienka składa na cele kościelne kilka razy po 10,000 guldenów; Papież przysyła jej błogosławieństwo; w banku obrazy święte na ścianach, a panienka nosi krzyż na piersiach; więc zapał zamienia się w szał, w namiętność. Miliony za milionami wpływają do kas. Lud całej Bawaryi składa pot swej pracy, mienie sieroce, wszystko do ostatniego strzępa spienięża; mieszczaństwo drobne, bogaci panowie, pobożni kapłanie, słowem cała Bawarya spłynęła do banku. Pobożna panienka posyła świętopiętrze, ojciec św. błogosławi powtórnie.

Aż oto po niejakim czasie zaczęły najprzód ztąd i z owąd odzywać się pojedyńcze, ciche głosy przestrogi, zbijane zaciekle przez ultramontanów, a w końcu uderzyło na gwałt całe uczciwe dziennikarstwo. Wszczął się tedy ogromny popłoch, ten i ów zażądał zwrotu swojego kapitału, banki zaczęły zwlekać z dnia na dzień, a nakoniec wstrzymały wypłatę zupełnie. Rząd zesłał komisyą śledczą, zrewidowano księgi i kasy, i oto pokazał się deficyt na 30 milionów. Wieść ta jak grom zatrzęsła całą Bawaryą; lud się tłoczy, domaga

swego grosza, rzuca się tłumem, chcąc odebrać owoc swej ciężkiej pracy, żandarmi i wojsko otaczają banki. Pobożna panienka, z ogromnym złotym krzyżem na piersiach, idzie do więzienia. W jej apartamentach znaleziono przepyszne suknie, bajecznie wspaniałe urządzenie, królewskie nakrycia; po posadzkach rozprószone, rozrzucone tysiące pieniędzy ludzkich, zarobione ciężką pracą, potem i łzami.

Bankructwo tego banku jest ogromną, niepowetowaną klęską, szczególniej dla klas biedniejszych. Kilka tysięcy ludzi zostało wyzutych z wszelkiego mienia. A oszustwo to było przecież do przewidzenia: bo kto płaci po 20 procent od sum, pożyczanych dla siebie, a bierze po 10 proc. od kwot, które wypożycza drugim, jest albo dobroczyńcą ludzkości, albo oszustem. Dzienniki ultramontańskie wyrzekają się teraz wszystkiego, nazywając całą tę sprawę „pruską zdradą." Co do tego jednak można powiedzieć z Krasickim: „Wszystko to być może, jednak ja to między bajki włożę."

Co do samej osobistości tej osławionej oszustki, wychodzą teraz na jaw rozmaite ciekawe szczegóły. Tak między innemi opowiada autor wydanej teraz w Mnichowie broszury o tej sprawie co następuje: „Pewnego dnia stałem w pobliżu domu panny Spitzeder rozmawiając z przyjacielem, gdy naraz uderzyła wzrok mój jakaś czerwona postać, nadchodząca ulicą królewską. — „To panna Spitzeder" — szepnął mój przyjaciel — „możesz się jej teraz zbliska przypatrzeć." Przeszedłem więc umyślnie na przeciwległy trotoar, którym przechodziła pobożna panienka w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka. I jakiż to widok przedstawił się moim oczom! Głowa bez żadnego okrycia o ciemnych, krótko uciętych włosach; twarz trójgraniasta z długą, zostrzoną brodą; rysy grube, wcale nie zajmujące, i żółta cera, podobna do starego pergaminu: oto jej wizerunek, odznaczający się więcej wyrazem męskim niż żeńskim. Wychudłą jej postać średniego wzrostu okrywała szkarłatna suknia o czarnych pasach, z długim, wlokącym się ogonem podług najnowszej mody; na szyi zaś wisiał jak zwykle na złotym łańcuszku ciężki krzyż, wysadzany brylantami. Cała jej powierzchowność sprawiała dziwne wrażenie; byłato jakby mieszanina istoty „półświatka" i baletniczki. W tej toalecie pokazywała się ona często za domem. Postępowanie jej bywało zresztą bardzo prostackie. Nieraz przypatrującym się jej ciekawie na ulicy wystawiała język, dołączając do tego grubiaństwo, jakim zaledwie raczą się przekupki." Dalej wylicza pomieniona broszura cały szereg gwałtów, groźb i prześladowań, jakich dopuszczała się pobożna panienka w ostatnich czasach względem tych, którzy zbyt natarczywie dopominali się wypłacenia zapadłych weksli. W końcu zaś podaje broszura jeszcze kilka przykładów kolosalnego jej marnotrawstwa. Tak między innymi składała w jej banku swoje oszczędności także kucharka pewnego majętnego barona. Gdy przyszła raz po swój procent miesięczny, spytała ją panna Spitzeder, u kogo służy i ile pobiera miesięcznie, a dowiedziąwszy się, że jej płacą miesięcznie 10 guldenów, rzekła: „Podobasz mi się, przyjdź do mnie na służbę. Dam ci miesięcznie 20 guldenów, a oprócz tego daruję ci to wszystko, co wieczorem znajdziesz w moim szlafroku." Tak ponętnemu zaproszeniu nie mogła się oprzeć kucharka, i służba też jej wypłacała się doskonale, gdyż oprócz znacznej płacy i licznych datków poczesnych, znachodziła nieraz w szlafroku swej pani po kilkadziesiąt guldenów. — Pewien aktor przy teatrze ludowym w Mnichowie był codziennym gościem panny Spitzeder. Pobożna panienka kupiła mu wierzchowca, dawała mu pieniędzy, ile razy potrzebował, a z kochanką jego, młodą piękną aktorką, żyła w najściślejszej przyjaźni i nie wypuszczała jej prawie od siebie. Tej dziewczynie darowała ona willę nad jeziorem Starnbergskim, i kazała nadto sporządzić jej wyprawę, jakiej nie powstydziłaby się nawet córka książęca; ale ileżto łez i przekleństw cięży na niej!

(Kary na fałszerzy masła.) Skarga, że przedawcy masła usiłują wszelkiemi sposoby oszukiwać kupujących tak co do wagi, jak i dobroci swego towaru, jest prawie równie stara, jak ów artykuł żywności, i bardzo dotkliwemi były też po części kary, jakie oszukana publiczność i czuwająca nad jej dobrem sprawiedliwość wymierzała za takie przestępstwa.

Tak n. p. miano w Cambray rodzaj stołka, który stał na środku targowicy, i na którym sadzano schwytanego na gorącym uczynku fałszerza masła. Takiemu winowajcy wiązano ręce, na szyję zakładano żelazną obrożę, a na głowę kładziono wszystkie osełki masła, które nie miały należytej wagi, lub w których znaleziono przymieszki kartofli, marchwi itd. Execucya ta odbywała się w samo południe, kiedy słońce najbardziej dogrzewało, i można sobie wyobrazić, jaki był skutek tej operacyi. Roztopione masło ściekało delikwentowi po twarzy i szyi, co było tem dokuczliwszem, że nie miał żadnej ręki wolnej, by zetrzeć tę ciecz niemiłą, a prócz tego musiał on jeszcze znosić szyderstwo tłumu i uliczników, wtórujących nieraz swoim okrzykom salwami błota i kamieni.

Podobnych kar używano także w Niemczech, łącząc z niemi tu i ówdzie rodzaj zabawy ludowej. Tak n. p. opowiada stary rękopis, że na dniu 27. kwietnia 1521 r. zawieszono w Wiedniu jakąś maślarkę w koszu nad wodą, pozostawiając jej do wyboru: albo wisieć tak ciągle, albo przeciąć sznur i spaść wraz z koszem w wodę. Tysiące ludu zebrały się na to widowisko, natłok był straszny, i delikwentka korzystając z tego zamieszania, przecięła sznur, spadła w wodę i wygramoliła się bez przeszkody na ląd.

W naszym wieku stała się sprawiedliwość łagodniejszą; ale gdy pomyślimy o tem, jak wielce i dziś jeszcze krzywdzoną bywa publiczność na zdrowiu i mieniu niesumiennem fałszowaniem żywności, trudno nie westchnąć niekiedy za owemi czasami dawnemi.

(Dawne mody francuzkie.) Królowa Marya Antonetta wystąpiła pewnego razu w bronzowem ubraniu, a król zrobił żartobliwą uwagę, że to kolor pchły (couleur de puce). Słowa te obiegły dwór cały, i wnet stał się kolor pchły modnym. A rozróżniano przytem dwa główne odcienia, mianowicie kolor młodej i starej pchły; prócz tego starano się naśladować barwę rozmaitych części ciała tego owadu, i zarzucano farbierzy najdziwaczniejszemi zamówieniami. Ale fabrykanci materyj jedwabnych spostrzegli wnet, że mania ta przynosi im wielką szkodę. Zanieśli więc prośbę do królowej i przedłożyli jej nowe materye. Królowa wybrała sztuczkę jasno

popielatą, a gdy po raz pierwszy przedstawiła się królowi w tej sukni, rzekł Ludwik XVI. z galanteryą: „To najpiękniejsza barwa twoich włosów.“ Odtąd straciła już pchła swoje berło, nikt nie chciał już nosić jej barwy, lecz wszystko rzuciło się do barwy włosów królowej. Przekupiono fryzyera jejmości królowej, otrzymano tym sposobem kosmyk jej włosów, posłano tę próbkę kuryerem do Lugdunu, do najsławniejszego fabrykanta jedwabiów, i zamówiono jak najspieszniej materye tego koloru. Po rewolucyi zaś był w modzie styl starożytno-klasyczny. Szerokie, powiewne suknie, obnażone ramiona, sandały zamiast pończoch i trzewików, i warkocze à la Diana albo też à la Psyche były w wyższych kółkach Paryża na porządku dziennym; Francuzki ubierały się jak Atenki za czasów Peryklesa. Dlatego też nie nosiły wówczas damy ani torby ani kieszeni, lecz wyszukiwały inne schowki na rzeczy, bez których obyć się nie mogły; wachlarze zatykały za pas, a tabakierki i chustki do nosa nosili za niemi usłużni kawalerowie.

(Zabobonność Chińczyków) jest prawie niepodobną do uwierzenia, i jej też przypisać potrzeba jedynie najnowsze bunty przeciw Europejczykom, gdyż ze stu Chińczyków jest 99 najmocniej przekonanych, że cudzoziemcy, a szczególnie wyznania rzymsko-katolickiego, kradną i gotują dzieci, ażeby z wnętrzności ich wyrabiać czarodziejskie napoje. Gdy przed kilku laty zbuntowani Tai-Pingowie pustoszyli kraj, wpadło ich dowódzcy na myśl, że ponieważ wszyscy ludzie lubią złoto i srebro, powinne także części człowieka wskazywać miejsce, gdzie skarby są ukryte! Jakoż dla przekonania się o tem zabił sam pierwszego jeńca, pokrajał na sztuki i ugotował. Gdy się tłuszcz pokazała na wierzchu, kazał zamaczać w niej kawałek szmaty i ukręcić z niej pochodnię. Z tą udał się potem do domu, którego mieszkańcy pouciekali, i uważał na migot płomienia. Gdy prysnęły iskry, miało to wskazywać miejsce, gdzie skarb musiał być ukryty. Zaczęto więc kopać, i niestety znaleziono istotnie garnek z srebrną monetą! Że potem w najmniejszej nawet wsi fabrykowano takie ludzkie pochodnie, łatwo się domyśléć.

(Wygody za dawnych czasów.) W r. 1234 spał król angielski po raz pierwszy na sienniku, dawniej zaś na gołych deskach. W r. 1246 były domy po największej części kryte słomą, a w r. 1400 nie znano jeszcze w Anglii komina, a tem mniej pieca; grzano się tylko nad panwiami. Wino sprzedawano jako lekarstwo w aptekach. Powozów nie znano także jeszcze. Panowie jeździli na koniach sadzając damy za sobą. W r. 1340 wynosiły podatki 30.000, ale nie funtów szterlingów, lecz wańtuchów wełny. Sędziów i adwokatów płacono cynamonem i pieprzem, zkąd też zapewne pochodzi, że rachunki adwokackie są zwykle tak pieprzne. W r. 1343 pojawiły się pierwsze szpilki, do tego czasu używały damy drewnianych kołeczków. W r. 1344 bito pierwszą monetę w Anglii. Pierwsze pończochy jedwabne nosiła królowa Elżbieta w r. 1561, a we Francyi wprowadził tę modę król francuski w r. 1517.

(Tkliwość kardynała Mazariniego.) Skąpstwo Mazariniego stało się prawie równie sławnem, jak zasługi jego około monarchii Ludwika XIV. Pomimo olbrzymie bogactwa, jakie zebrał w ostatnich latach swego panowania, grywał on namiętnie o wysokie sumy; a nawet gdy słabość powaliła go na łoże boleści, z którego nie miał już powstać, kazał stolik do gry przysunąć do swego łóżka, oddawał bogatym dworakom w zastępstwie swojem bank, śledził pożądliwem okiem toku gry i złościł się, gdy który z zastępców przegrywał jego dukaty.

Pewnego razu zachorowała gwałtownie jedna z jego synowic i umarła. Kardynał, który ją bardzo kochał, posłał swego pokojowca, Germaina, człowieka wielce zaufanego, ażeby ją pielęgnował w słabości. Przed zgonem chwaliła umierająca troskliwość tego sługi w obecności kardynała i polecała go usilnie jego łasce. „Wynagrodzę go za to po królewsku!“ — zawołał wzruszony kardynał. Miesiąc upłynął od śmierci synowicy, a Mazarin ani pomyslał jeszcze o przyrzeczonej nagrodzie królewskiej. Germain stracił cierpliwość i ośmielil się pewnego dnia przypomnąć panu jego przyrzeczenie.— „Germain, zaklinam cię, nie wspominaj o tem“ — zawołał kardynał błagającym głosem — „bo odnawiasz ranę, która dotąd nie zgoiła się jeszcze.“

(Z czasów Trubadurów.) W owych złotych czasach arkadyjskiej szczęśliwości, kiedy to jeszcze pokonaniem smoka lub innej bestyi musieli kawalerowie składać swym bogdankom dowody miłości, niejaki Ryszard de Barberieu poprzysiągł pewnej księżniczce wierność, i złamał swoję przysięgę. Za pokutę zbudował sobie w głębi lasu chatę z gałęzi i przysiągł, że nie opuści jej, dopokąd obrażona dama nie powróci mu straconych względów. A był to bardzo lubiony spiewak, i brak jego dawał się mocno czuć w salonach; i rycerze i damy wyprawiali do niego posłów z prośbą, ażeby powrócił, ale prośby ich były daremne; próbowali więc wszelkich sposobów, ażeby ułagodzić gniew obrażonej damy. Wreszcie dała się ona wzruszyć, ale przyrzekła przebaczyć mu dopiero wtedy, gdy stu walecznych rycerzy i sto pięknych dam, którzy poprzysięgli sobie wieczną miłość, uklękną przed nią i ze złożonemi rękoma będą prosić o łaskę dla jej trubadura. Sto par takich kochanków wypełniło ten warunek, i spiewak otrzymał przebaczenie. Jakaż to rozczulająca musiała być scena!

(Rezygnacya umierającego Moskala.) Pewien ubogi chłop moskiewski, złamany ciężką pracą i niedostatkiem, umierał samotnie w nędznej chacie swojej. Przechodzący tamtędy pop usłyszał jęki umierającego; wszedł więc, i pomodliwszy się nad nim, usiłował go pocieszyć.

— „Nie rozpaczaj, Iwanie“ — mówił — „dzień spoczynku dla ciebie już się zbliża. Twoje czyste, pracowite życie otworzy ci pewnie bramy niebios, i będziesz w całej wspaniałości oglądać oblicze Zbawiciela.“ — „I będę mógł spoczywać?“ zapytał Iwan. — „Niezawodnie.“ — Iwan potrząsł głową. — „Widzicie“ — rzekł potem z największą rezygnacyą — „ja wiem, że wy umierających tak pocieszacie, ale wiem także, że i tam na górze, równie jak tu na ziemi, nie ma spoczynku dla biednych. Gdy bogaci siedzą przy stole ze złota i kości słoniowej, jedzą pieczeń baranią i popijają miodem, któż wtedy spełnia robotę biednych? Gdy będę tam na górze, a nadejdzie wieczór, zawoła mnie Bóg Ojciec i rzeknie: „Iwanie,

czy zgasiłeś słońce? czy zapaliłeś księżyc? Iwanie, czy aniołowie powrócili do domu? czy wieczerza dla świętych gotowa? Iwanie, czy drzwi raju zamknięte, ażeby urzędnicy rządowi i dzierżawcy monopolu tytoniu i soli nie mogli wejść do niego? Iwanie, leniuchu, powstań!" A gdy wtedy odpowiem Panu Bogu: „Tak jest, wszystko zrobione; czy Iwan może już udać się na spoczynek?"—otrzymam odpowiedź: „Jeszcze nie, Iwanie; trzeba jeszcze rozsiać gwiazdy po niebie." I pomyślcie ojcze, jaka to będzie praca, porozsiewać wszystkie gwiazdy; już to, co widzę tu nad sobą, jest porządna porcya, a świat tak wielki! Jakżeż temu podołam? Widzicie tedy ojcze, że Iwan nie będzie mógł nigdy spoczywać, nawet w niebie."

(Namiętność szulerska). Nigdzie może w całej Moskwie nie kwitnie szulerstwo tak, jak w Jekaterynburgu w Syberyi. Wszystko grywa tam w karty prawie po całych dniach, a szczególnie wista, który i mężczyźni i kobiety namiętnie lubią; a nawet młodzież obojga płci woli grać w karty niż tańczyć. Anglik Atkinson, zwiedzając góry Uralskie, poznał pewne małżeństwo, mające 11 dzieci. Matka przepędzała codziennie pięć do sześciu godzin przy kartach, a wtedy zapominała zupełnie i o dzieciach, i o mężu, i o całem gospodarstwie. Inna dama kazała codziennie o godzinie dziesiątej zrana ustawiać stoliki do gry. Gdy za pół godziny nikt nie nadszedł, wychodziła i tak długo włóczyła się od domu do domu, dopokąd nie znalazła towarzystwa grającego. Gdy się wist skończył w jednem miejscu, szła dalej, i tym sposobem przepędzała cały dzień, wyjąwszy godziny obiadowe, przy kartach.

Dama ta dowiedziała się raz, że do Jekaterynburga przybył właściciel kopalni z gór altajskich, sławny gracz w wista. Nie spoczęła więc, dopokąd nie została mu przedstawioną i nie zaprosiła go do gry. W Syberyi grają wysoko; jejmość miała szczęście i wygrała znaczną sumę. Na drugi dzień zaczęła się gra wcześnie zrana, a gdy się skończyła około północy, przegrała namiętna szulerka wszystkie swe pieniądze. We dwa dni potem musiał nadejść z Petersburga półroczny jej dochód; jej przeciwnik chciał już na drugi dzień odjechać, ale nalegała nań tak długo, aż się dał nakłonić, by jeszcze raz z nią zagrał. W dniu upragnionym nie wychodziła z poczty, pochwyciła pieniądze, jak tylko nadeszły, i pospieszyła do zielonego stolika, a w kilka godzin potem przegrała wszystko!

(Powód do pojedynku). Za panowania Ludwika XVIII. żył w Paryżu wysłużony gwardzista, imieniem Choquart, który miał sławę wielkiego zawadyaki, a oraz był fanatycznym legitymistą. Pewnego dnia był on w kawiarni i słyszał, jak dwóch obywateli z prowincyi rozmawiało o królowej Maryi Antonecie. — „Mówią" — rzekł przy sposobności jeden z nich — „że miała jedno oko mniejsze." — Natychmiast powstał Choquart i krzyknął na nieznajowego: „Jesteś nędznikiem! Obrażasz kobietę! Nazywam się Choquart, a pan wiesz, co to znaczy." Ofuknięty obywatel zdumiał się wprawdzie bardzo; ale zrozumiał wyzwanie i przyjął je. Nazajutrz odbył się pojedynek na szpady, i Choquart zranił lekko przeciwnika, poczem nastąpiło pojednanie. — „Ale wytłumacz mi pan przecież" — rzekł wtedy zraniony—dlaczego mnie wyzwałeś? Przecież musisz pan wiedzieć o tem, że jedno oko królowej Maryi Antonetty było mniejsze." — Choquart wyprostował się i rzekł z powagą: „Królowa, mój panie, nie może mieć nigdy oka, które byłoby mniejsze od drugiego; Jej Król. Mość raczyła posiadać oko, które było większe od drugiego."

(Wzorowy anons). Łączyć przyjemne z pożytecznem, jest wielką sztuką; ale Amerykanie dokazują dziś jeszcze większej sztuki, bo potrafią nawet smutne łączyć z pożytecznem, jak tego dowodzi następujący anons, ogłoszony w dziennikach amerykańskich:

„Oznajmiam wszystkim przyjaciołom i znajomym, że ukochaną małżonkę moję wydarła mi wczoraj śmierć w tej samej chwili, gdy mnie ona uszczęśliwiła powiciem zdrowego chłopaka, do pielęgnowania którego poszukuję zdrowej mamki, nim mi się powiedzie znaleźć znowu godną kochania i zamożną damę na towarzyszkę życia, która byłaby zdolną zawiadywać tymczasowo moim, mającym dobrą reputacyą handlem płócien, gdzie wszelkie zamówienia w przeciągu 12 godzin jak najtaniej bywają załatwiane, gdyż zamierzam dopiero wtedy zaangażować zdolną dyrektorkę z roczną płacą 200 dolarow, aż się skończy wyprzedaż, odbywająca się w tej chwili po jakich bądź cenach, i handel mój z dniem 1. sierpnia przeniesiony zostanie na ulicę X. Nr. 11, gdzie mam jeszcze jedno piątro za 500 dolarów do odstąpienia."

(Automatyczne ręce i nogi). W Dundee, w Szkocyi, odjęto w roku 1869 pewnej młodej kobiecie, nazwiskiem Robertson, przez amputacyą obie ręce i nogi, zagrożone gangreną. Dr. Begg, który dokonał tej szczęśliwej operacyi, urządził składkę na korzyść tej nieszczęśliwej, a potem odesłano ją do Londynu. Tu sporządził dla niej p. Heather Begg sztuczne ręce i nogi; ręce były automatycznej konstrukcyi, a palce ich zamykały się i otwierały dowolnie, tak że posługująca się niemi kaleka mogła brać w nie najdelikatniejsze przedmioty, jak igły i t. p. Z czasem przywykła ona do posługiwania się swemi sztucznemi członkami, i mogła nawet wyrabiać szale, czem zarabiała na swoje utrzymanie. Jeden taki szal posłała królowej, za co otrzymała od niej tytułem wynagrodzenia 5 funtów szterlingów. Przy pomocy kul może ta kobieta stać i chodzić, a teraz jest w stanie nawet pisać, robić pończochę, ubierać się sama i t. d. „British Medical Journal" powiada, że to jedyny tego rodzaju przykład, świadczący zaszczytnie o postępie tak chirurgii jak i mechaniki.

Kącik humorystyczny „Strzechy."

W sąsiednich kojcach mieszkały raz kury,
Różnej rasy, choć zresztą pokrewnej rodziny,
Jedne swojskie a drugie rzadkie — z Kochinchiny.
Jakoś się znęcił kot bury
I słodkim głosem mamiąc swojskich kwoczek zgraję,
Ściągał im raz kurczątko, to znów świeże jaje,
Twierdząc, że mu się należy
Podatek ten z urzędu, godności i siły.
Głupie kwoczki to znosiły;
Ale ktoś z kochinchińskich kur zacnej młodzieży,
Litując się głupoty i nędzy sąsiadek,
Rzekł do swoich: że gapiów oświecić wypada,
Niech wypędzą drapieżnika z kojca!...
— W imię Syna i Ducha świętego i Ojca! —
Wykrzykła cała gromada.
— Oświecać!... co za dziwny koncept ci przychodzi!
Parobku!... rzekł książę Władek —
Pomyśl, że kura swojska już głupia się rodzi,
I nic z niej nie zrobisz niczem,
Chyba pacierzem lub biczem;
Zresztą co nam do zgrai plebejskiego rodu...
Kot nie ośmieli dotknąć się naszego płodu,
Bo wie, czem pachnie ta sztuka!...
Wkrótce kot wyjadł wszystkie kurczęta i jaja
W jednym kojcu i łapą do drugiego puka.
Próżno się kochinchińskie z zawziętością bronią,
Próżno wołają w pomoc sąsiedniego kojca;
Przemógł ich zbójca!...
A sąsiadów plebiejska odpowiada zgraja:
— „Władza pochodzi od nieba!...
Opierać się jej grzech i sromota"
Tegośmy się nauczyły od kota.
(Nauka — ważna — jak złoto)
Zresztą on nasz przyjaciel, i jeśli potrzeba,
Pomożemy mu z ochotą! —
Ja słysząc... pomyślałem na to:
Kury, to mądre istoty.
Dalibóg! sprawa do joty,
Jakby z ludową oświatą!...



ROMANTYCZNOŚĆ.

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:
Czy to pies?
Czy to bies?
Rzecze jeden do drugiego,
Czy ty widzisz psa czarnego?
Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
Lecz obadwa tak się zlękli,
Że weszli w rów i przyklękli.

Drżą, potnieją, włos się jeży;
A pies bieży... a pies bieży...
Bieży, bieży, już ich mija,
Podniósł ogon i wywija:
Czy to pies?
Czy to bies?
Już ich minął, pobiegł dalej,
Oni wstali i patrzali:
Czy to pies?
Czy to bies?

Wtem o dziwy! w oddaleniu,
Na zakręcie znikł im w cieniu:
Czy to pies?
Czy to bies?
Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli,
Czy to pies?
Czy to bies?

Na oświatę ludową wpłynęło dalej do puszki wystawionej przy księgarni F. H. Richtera do 12. września: **23 zł. 32 i pół c. w. a. 1 zł. 25 c. w srebrze i 30 kopiejek w srebrze**; zaś dnia 14. grudnia wyjęto: **24 zł. 40 c. w. a., 1 zł. w srebrze, 2 talary w srebrze, 20 kopiejek w srebrze, 10 franków w złocie i 5 starych szóstaków w srebrze.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.